bezpłatnie. **na okaz.**

Kraków 3 Maja 1891.

RZEMIEŚLNIK
POLSKI

Dwutygodnik poświęcony sprawom rękodzielnictwa w Galicyi.

Nasz program.

Konstytucya 3 Maja, ten pomnik zacności i patryotyzmu ówczesnej szlachty polskiej, jest dziś dla nas niejako testamentem, pragnącego się odrodzić a gwałtownie zabitego narodu. Testament ten zaleca nam podnoszenie szerszych warstw ludności, a przedewszystkiem mieszczaństwa.

Dziś nie może naród, jak Konstytucya zaleca, mieszczan nobilitować ani ich przywilejami obdarzać, ale może i ma obowiązek: nieść pochodnię zdrowej oświaty między mniej oświeconych, pomagać do polepszenia bytu mniej zamożnym, a wszystkich uszlachetniać i podnosić moralnie.

Stuletnia rocznica wiekopomnej Konstytucyi 3go Maja przypomina nam ten obowiązek święty i do spełnienia go wzywa.

Tą myślą ożywione Krakowskie Towarzystwo Oświaty ludowej, zostające pod protektoratem Jego Eminencyi Księdza Kardynała, Księcia Biskupa Krakowskiego, z Jego wiedzą i błogosławieństwem, postanowiło uczcić tę stuletnią rocznicę, rozpoczęciem żmudnej, długiej, ale pożytecznej dla narodu pracy: podnoszenia oświaty, moralności i dobrobytu licznej ludności katolickiej, zamieszkującej polskie miasta.

Na razie ogranicza się Towarzystwo Oświaty do spełnienia jednej tylko cząstki tej pracy — i postanawia wydawnictwo czasopisma dla rzemieślników polskich.

W kraju naszym, w którym nie brak pism dla innych warstw ludności, — pisma poświęconego wyłącznie sprawom rzemieślniczym **niema ani jednego**, a niedostatek jego boleśnie uczuwać się daje tak rzemieślnikom samym, jak i wszystkim ludziom, których dobro kraju obchodzi.

Pismo takie redagowane przez ludzi uczciwych, a fachowo uzdolnionych, spełniać powinno następujące zadania:

1) Stać twardo na gruncie wiary katolickiej i miłości ojczyzny; pielęgnować i utrwalać obydwa te uczucia jako obowiązek każdego prawego Polaka, i jako program całego naszego narodu.

2) Kształcić ogólnie umysł rękodzielnika polskiego, bo tylko wykształceni mogą dobić się zamożności, i pracować dodatnio dla przyszłości narodu.

3) Budzić w rzemieślnikach, młodszych zwłaszcza, zamiłowanie do warsztatu, bo tylko człowiek, który kocha swoje zajęcie, może w niem dla siebie i dla drugich pożytecznie pracować; budzić zamiłowanie oszczędności i pracy, bo tylko przez nie zdobyć sobie można niezależność; budzić wreszcie w całem społeczeństwie polskiem szacunek dla pracy rękodzielniczej, i wykorzeniać wstręt, jaki się objawia między młodzieżą szkolną do poświęcania się rzemiosłu. Im więcej ludzi światłych i dobrze wychowanych garnąć się będzie do rzemiosł, tem prędzej stan rzemieślniczy zjedna sobie w narodzie ten szacunek i wpływ, jaki mu się należy.

4) Fachowo pouczać rzemieślników polskich o tem, co gdzieindziej wynaleziono, celem ułatwienia pracy lub udoskonalenia wyrobów; zawiadamiać o wymaganiach i potrzebach kupującej publiczności; wskazywać, gdzie coś pożytecznego dla siebie rzemieślnik zobaczyć lub nauczyć się może — i ułatwiać mu tym sposobem dalsze fachowe się kształcić.

5) Torować drogę idei **Stowarzyszeń i Spółek**, a więc pouczać, zachęcać i pomagać do zawiązywania takowych: już to wyłącznie przez rzemieślników jednego fachu, już to przez ogół rękodzielników polskich, już to przez rzemieślników, wspólnie z osobami innych stanów. Pierwsze z tych stowarzyszeń miałyby na celu obronę wspólną ludzi jednego fachu, przeciw konkurencyi krajowej tandety i cudzoziemskich wyrobów. Drugie, obronę wspólnych interesów ogólniejszej natury. Trzecie nareszcie łączyłyby: **pracę ręczną** jednych, **wyższe wykształcenie** drugich, a **kapitały pieniężne** trzecich, w harmonijne z sobą, a potężne na zewnątrz przedsięwzięcia, które wszystkim wspólnikom wielkie nieść mogą korzyści.

6) Zaznajamiać rękodzielników naszych z przepisami obowiązujących u nas ustaw, których znajomość tak do zawiązywania stowarzyszeń, jak i w ogóle do każdej pracy, w celu podnoszenia godności i dobrobytu stanu rzemieślniczego, jest niezbędnie potrzebną.

7) Nakoniec starannie opracowywać pożyteczny dla wszystkich rzemieślników dział **informacyjny**, z którego dowiadywaćby się mogli, gdzie najtaniej i w najlepszym wyborze dostać mogą materyałów surowych do pracy potrzebnych — a gdzie znowu najkorzystniej i najprędzej pozbyć mogą wyroby, jakie pracą i umiejętnością swoją wytworzyli. Nie mniej do działu informacyjnego należeć będą zawiadomienia, adresowane do publiczności kupującej: u którego z rzemieślników i jakie przedmioty, sumiennie wykonane a do sprzedania gotowe, znajdują się na składzie.

Politykę bieżącą postanawia Towarzystwo Oświaty stanowczo z pisma wykluczyć, gdyż polityka ludzi u nas rozdziela, a dążnością pisma ma być szczepienie jedności, zgody i chrześciańskiej miłości.

„Rzemieślnikiem polskim" niechaj to pismo się zwie, żeby już samą nazwą wskazywało od razu, dla kogo i na czyj pożytek jest wydawane.

Pismo to wychodzić będzie dwa razy w miesiącu po półtora do dwóch arkuszy na numer, a prenumeratę ustanowi Wydział jak najniższą.

Jeżeli po 1 Lipca b. r. zbierze się dostateczny fundusz pieniężny na zapewnienie temu pismu trwałego bytu, to Towarzystwo Oświaty zajmie się złożeniem odpowiednio uzdolnionej redakcyi, postara się o wejście w bliższe porozumienie z wykształconymi rzemieślnikami i ludźmi fachowymi, których zaprosi do pomocy redakcyi, i w ciągu najdalej paru miesięcy wydawnictwo rozpocznie.

Każdy rzemieślnik, który będzie prenumeratorem pisma, może liczyć na pewne ulgi w opłacie inseratów, a dziś już zaprasza Wydział wszystkich rzemieślników, którzyby mieli coś w tej sprawie do powiedzenia: żeby swoje uwagi, rady i zapatrywania, dotyczące istotnych potrzeb stanu rzemieślniczego, pisemnie dla zużytkowania przez przyszłą redakcyę nadsyłać zechcieli.

Wydział Towarzystwa ofiarowuje swoją pracę i opiekę nad tem pismem, a nie uchyli się także od materyalnego poparcia w miarę swojej możności. Pewne zasiłki na to

pismo, złożone przez ludzi uznających konieczną tego wydawnictwa potrzebę, ma już Towarzystwo w ręku; gdy jednak do rozpoczęcia tak ważnego dzieła znaczniejszych potrzeba funduszów, a Towarzystwo Oświaty mając różne do spełnienia zadania, nie byłoby w możności swoimi zasobami pieniężnymi jąć się rozpoczęcia wydawnictwa — przeto zwraca się niniejszem do wszystkich ludzi dobrej woli, aby mu swego poparcia udzielić i na wydawnictwo „Rzemieślnika polskiego" ofiary pieniężne nadsyłać raczyli.

Listy, prace literackie i zasiłki pieniężne, prosimy nadsyłać pod adresem: „Wydział Towarzystwa Oświaty ludowej w Krakowie" *(Plac Franciszkański 8)*.

Z Wydziału Krakowskiego Towarzystwa Oświaty ludowej.

W Krakowie, dnia 3 Maja 1891 r.

Dr. Wilhelm Dadlez
sekretarz.

X. Dr. Józef Pelczar
przewodniczący.

CZŁONKOWIE WYDZIAŁU:

X. Dr. Julian Bukowski.
Maryan Dydyński.
Józef Głuszkiewicz.
Wincenty Jabłoński.
Dr. Józef Kleczyński.
Kazimierz Langie.
X. Dr. Zygmunt Lenkiewicz.
Dr. Juliusz Leo.
Julian Maciołowski.
Dr. Antoni Malkiewicz.
Dr. August Sokołowski.
Dr. Tadeusz Starzewski.
Jan Wojtyga.
Ignacy Żółtowski.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Wśród rozmaitych stanów, jakie nakształt mozajki składają społeczeństwo ludzkie, niepoślednie miejsce zajmuje stan rzemieślniczy. Potężny liczbą, inteligencyą, wywierać powinien znakomity wpływ na losy narodów. I tak też było, wówczas nawet, kiedy inne stany dzierżyły w ręku wyłącznie prawie losy kraju. U nas, w Polsce, nie można powiedzieć, żeby przemysł rękodzielniczy był dawniej kwitnący, były jednak i dla niego lepsze czasy w wieku XV i XVI. Późniejsze okoliczności wpłynęły niekorzystnie na stan mieszczański, a z nim razem na rozwój przemysłu. Ale w czasie odrodzenia naszego narodu, pod koniec XVIII wieku, zwrócono się do stanu rękodzielniczego, bo się przekonano, że bez jego współudziału w życiu politycznem, niepodobna jest pomyśleć o odrodzeniu upadającej Ojczyzny. Sejm czteroletni zajął się szczerze tą sprawą i na dniu 18 kwietnia 1791 r. uchwalił prawo złożone z 18 artykułów, zapewniające stanowi mieszczańskiemu przynależne prawa: wolność osobistą, prawo nabywania ziemi, własne rządy i sądy po miastach, oraz prawo należenia do obrad nad sprawami Ojczyzny. Konstytucya 3 Maja w paragrafie III wcieliła te prawa w swój skład, dając w ten sposób stanowi mieszczańskiemu możność rozwijania się na przyszłość. Wprawdzie niestety! Konstytucya ta upadła wraz z upadającym politycznie Narodem, — ale myśl rzucona raz na pole życia narodowego nie upadła; stała się ona częścią pracy odrodzenia, i dotąd stanowi artykuł *Credo* pracy organicznej Narodu. To też pod jej tchnieniem stan mieszczański rozwija się, zyskuje coraz więcej sił żywotnych, a z nim rzemiosła i w ogóle przemysł wybijają się z dawnej niemocy, dążąc do postawienia się na równi z przemysłem innych krajów.

Tej więc Konstytucyi 3 Maja, macie bracia rzemieślnicy do zawdzięczenia w znacznej części polepszenie bytu waszego, i rozwój tego ducha ożywczego, który się rwie do życia i potęgi. — Ale pamiętajcie bracia, że Konstytucya 3 Maja była dziełem Opatrzności Boskiej! Ta to Opatrzność natchnęła mężów wybranych wśród sejmu czteroletniego, myślą szlachetną podania ręki braterskiej mieszkańcom miast; Ona oświeciła sejm, a z nim szlachtę, że przełamała lody dawnych przesądów i powołała do życia politycznego całą klasę Narodu, dotąd od tego życia odsuniętą.

Rozumiał to król ówczesny, rozumiał sejm, rozumiał naród cały — i dlatego po podpisaniu i zaprzysiężeniu Konstytucyi udano się do Kościoła, aby tam publicznie *Te Deum* na podziękowanie Panu Bogu, za szczęśliwie dokonane dzieło odśpiewać. Niedosyć na tem, postanowiono wystawić na tę pamiątkę pod Warszawą na placu Ujazdowskim świątynię, pod wezwaniem Opatrzności Boskiej, i w rok potem położono pod nią kamień węgielny. Przyszła najsmutniejsza dla Narodu naszego burza polityczna; kościół nie został zbudowany, ale szczątki jego dotąd istniejące świadczyć będą zawsze, że Naród nasz uważał Konstytucyę 3 Maja za dzieło Opatrzności Boskiej; że pod opieką tej Opatrzności zaczynał wszystkie ważniejsze chwile swojego żywota. Z tem też uczuciem wdzięczności w sercu, i wy bracia rzemieślnicy obchodzić macie stuletnią pamiątkę dnia tego wielkiego w dziejach Polski. Z tem uczuciem macie brać się do pracy nad rozwojem stanu waszego, bo bez uczucia religijnego nie wyrobicie w sobie nigdy przymiotów, które wam dobrobyt i szczęście zapewnić mogą.

A przymioty te, to: moralność i praca. Moralność oparta na silnych, niewzruszonych zasadach religii Chrystusowej, bo tylko ta jedna jest pewną i niezmienną drogą do szczęścia. Praca broniąca od socyalistycznych zachcianek, praca szczera, rozumna, postępowa, jakiej wiek dzisiejszy wymaga. Praca wymagająca nauki, bez której dzisiaj rzemiosła dźwignąć się nie mogą. Już przed stu laty upominał ks. Biskup Krasicki:

„Minęły lata szczęśliwej prostoty,
Trzeba się uczyć,
Już przeszedł wiek złoty!"

Z temi przymiotami dopiero: z Bogiem w sercu, umoralnieni, pracowici, możecie bracia rzemieślnicy dążyć do postawienia stanu rzemieślniczego na stopie odpowiedniej; możecie zająć stanowisko, jakie wam się słusznie w ustroju społeczeństwa naszego należy. Będzie to bezkrwawa a piękna rewolucya, za pomocą której utrwali się braterstwo wszystkich stanów. Szlachta w Konstytucyi 3 Maja podała rękę mieszczaństwu, ustępując na jego rzecz część swoich przywilejów, — rękodzielnicy podadzą dłoń spracowaną szlachcie, aby wspólnie z nią pracować dla dobra Ojczyzny. To, do czego inne narody dążyły przez potoki krwi, w bratobójczych zatargach przelanej, to my osiągniemy wśród spokoju i błogosławieństwa bożego, — bo pod hasłem miłości Boga i Ojczyzny!

X. Tadeusz Chromecki.



Dzień 3 Maja 1791 roku

z odczytu na stuletnią rocznicę napisanego

Juliusza Miklaszewskiego.

Zajaśniał piękny wiosenny dzień 3 Maja, i zaledwie słońce zeszło, powstał niezwykły ruch w całej Warszawie. Wyruszyły pułki piesze i jazda podążając ku zamkowi królewskiemu. Przez ulice miasta jak fale płynęły tłumy ludności ubogiej i bogatszej, szły cechy rzemieślnicze z chorągwiami, nareszcie ukazała się rada miejska Warszawy, z prezydentem na czele — wszystko to spieszyło na wielki plac zamkowy. Nieprzejrzane massy ludności zalegały olbrzymi plac zamkowy i sąsiednie ulice: Święto-Jańską, Piwną, Senatorską i Krakowskie-Przedmieście. Nie z prostej ciekawości, podążała ludność całej Warszawy ku zamkowi; te tłumy poruszało przeczucie, że miało się stać coś nadzwyczajnego, co miało decydować o losach narodu. Cisnęli się mieszczanie warszawscy na zamek, chcieli być najbliżej króla i sejmujących posłów, i samą swoją obecnością dawali świadectwo, że sprawa, która tam rozstrzygać się będzie, nie jest dla nich obojętną.

Sala sejmowa od wczesnego rana już przepełniona publicznością; na galeryach kobiety, w samej Izbie sejmowej ogromna ilość widzów. Przed miejscem, gdzie zasiadali marszałkowie, koło baryery stali ułani, a na ich czele książę Józef Poniatowski i generał Gołkowski. Z przeciwnej strony wznosił się tron otoczony przez oficerów gwardyi królewskiej. Posłowie należący do przeciwników Konstytucyi, wcześnie zajęli swe miejsca, patryoci baczne na nich mieli oko: chodziło o to, aby ci posłowe opozycyjni nie zakłócili porządku, i wskutek jakiego zamachu nie przerwali posiedzenia Sejmu.

O godzinie 11-stej przed południem wszedł do sali król, poprzedzony przez marszałków, otoczony liczną, wspaniałą świtą. Posłowie i publiczność powitała Stanisława Augusta głośnemi okrzykami. Posiedzenie otworzył marszałek Stanisław Małachowski, oświadczył, że ważne niebezpieczeństwo grozi Ojczyźnie, o którem zda sprawę Sejmowi Deputacya spraw zagranicznych (ministeryum dla spraw zagranicznych). Poseł krakowski Sołtyk twierdzi, że gdy doszły złowrogie wiadomości, dlatego prosi „Deputacyę“ aby oznajmiła co wie, żeby naród wiedział co go czeka. Król po krótkiem przemówieniu, wzywa marszałka, aby kazał odczytać doniesienia, które przysłali posłowie polscy z zagranicy. Ze wszystkich stron Izby wołano „prosimy, prosimy o odczytanie depesz“ (doniesień posłów). W tej chwili wypada na środek sali sejmowej Suchorzewski poseł kaliski, szarpie na sobie wstęgę świętego Stanisława, rzuca się na ziemię i czołgając się do tronu, z wrzaskiem domaga się głosu. „Mam odkryć wielkie rzeczy. Oto uknuto rewolucyę, która przygotowuje nowy rząd, chce naród pchnąć w niewolę.“ Mowa Suchorzewskiego bezładna, wypowiedziana krzykliwie, wywołała to śmiech, to wstręt. Śmiano się, gdy Suchorzewski prawił, iż żona Ignacego Potockiego mdlała, gdy jej doniesiono, że jej męża chcą zabić w Izbie poselskiej — boć wszyscy wiedzieli, że żona Ignacego od kilku już lat nie żyła.

Po niefortunnem wystąpieniu Suchorzewskiego, Matuszewicz poseł brzesko-litewski, w imieniu Deputacyi spraw zagranicznych odczytuje doniesienia posłów polskich z Wiednia, Hagi, Drezna i Petersburga. Najobszerniejsze ustępy czytano z depesz posła polskiego z Petersburga — Debolego. Z odczytanych doniesień dowiedziała się Izba o niebezpieczeństwach grożących Rzeczypospolitej od Rosyi i Prus. „Jeżeli nie będziemy mieć odpowiednich sił“ — mówił Matuszewicz, „sami i siebie i Ojczyznę w ręce nieprzyjaciół oddamy.“ „Do Ciebie miłościwy królu, do Was Najjaśniejsze Stany należy się jąć środków, które najskuteczniejszemi dla ratowania Ojczyzny uznacie.“

Ignacy Potocki prosi króla, aby wskazał drogę w jaki sposób ratować Ojczyznę.... „Radźmy o dobru Rzeczypospolitej, a potem będzieli wola, do nieprzyjaźni prywatnych powrócimy“, — mówił Piotr Zborowski do Firleja marszałka Wielkiego Koronnego. Ja zaś z miejsca mego mówię, „dozwól wielki Boże, abyśmy dobro Rzeczypospolitej ustanowili, a do nieprzyjaźni prywatnych nigdy nie wracali.“ Wezwany uroczyście przez Potockiego powstał król z tronu i oświadczył, iż istnieje projekt nowej formy rządu, na który zgadza się już wielu posłów sejmowych; król wzywa marszałka sejmowego, aby kazał ten projekt odczytać. Cała Izba sejmowa zabrzmiała potężnym okrzykiem: „prosimy!“ „prosimy!“

Wśród natężonej uwagi posłów i całej publiczności, sekretarz sejmowy odczytał główne artykuły nowej Konstytucyi. Ledwie dokończono czytania, ze wszystkich stron sali sejmowej wołano „zgoda!“ zgoda!“

Wśród powszechnego zapału odezwały się i głosy przeciwne. Posłowie: Korsak, Suchorzewski, Mielżyński, Złotnicki i kasztelan Czetwertyński, występują przeciw projektowi nowej Konstytucyi. Ci ludzie, mając spaczone pojęcia o wolności, widzą w dawnym bezrządzie, skazującym Polskę na poniżenie, wolność. Jakkolwiek cała prawie izba była za Konstytucyą, pozostawiono zupełną wolność słowa posłom opozycyjnym, sejm w spokoju słuchał ich mów.

Posłowie opozycyjni żądali, aby wszystkie artykuły Konstytucyi były kolejno roztrząsane; oczywiście wtedy obrady ciągnęłyby się całe tygodnie, jeżeli nie miesiące. Patryoci postanowili Konstytucyę bez szczegółowych rozpraw w dniu 3 maja przyjąć i zaprzysiądz jej prawomocność. Posłowie patryotyczni wymownie odpierali zarzuty przeciwników. „Jestem wolny, mówił Zakrzewski, i dlatego właśnie, iż kocham wolność, chcę rządu silnego, któryby mógł i kraj zasłonić i każdemu wymierzyć równą sprawiedliwość“. Stanisław Potocki wołał: Ojczyzna stoi nad przepaścią, nie czas na rozprawy.... „Królu, ratuj wolność narodu, nie tę wolność wyuzdaną, gardzącą rządem i prawami“. — Wśród tych mów, przedłużających posiedzenie coraz bardziej, powstał Zabiełło poseł inflancki i woła donośnym głosem: „Jestem za Konstytucyą i każdy jest za nią, kto kocha Ojczyznę.... Ciebie prosimy Najjaśniejszy Panie, abyś najpierwszy na jej wykonanie złożył przysięgę, a wszyscy za Twym przykładem pójdziemy“. To powiedziawszy poszedł ku tronowi, za nim ruszyli senatorowie, posłowie, i otoczywszy króla wołali z zapałem: „Niech żyje Król!“. „Niech żyje Konstytucya!“. Ten okrzyk przeniósł się na dziedziniec zamkowy, a potem na plac zamkowy, na przyległe ulice, i z piersi tysiąców i tysiąców wydobyło się potężne wołanie, które było jakby głosem całego narodu: „Niech żyje Król!“ „Niech żyje Konstytucya!“

Wśród entuzyastycznych okrzyków, posłów, senatorów i całego miasta Warszawy, król wszedł na krzesło tronowe, aby być od wszystkich widzianym, i dał znak że chce mówić. Uciszono się natychmiast. Stanisław August głęboko wzruszony, silnym i uroczystym głosem przemówił: „Gdy widzę stałą i wyraźną sejmujących wolę, abym wykonał przysięgę na konstytucyę narodową, wzywam zatem ciebie pierwszy kapłanie tu obecny, żebyś mi przeczytał rotę przysięgi“. Ksiądz Turski, biskup krakowski i ksiądz Gorzeński zbliżyli się do tronu; biskup krakowski czytał rotę przysięgi

ksiądz Gorzeński trzymał przed królem otwartą ewangielię. Król położywszy rękę na ewangielii. przysięgę wykonał. Po dokonanej przysiędze zawołał król: „przysięgam Bogu, żałować tego nie będę." Król wezwał senatorów i posłów, aby udali się do kościoła dla złożenia przysięgi i podziękowania Bogu, iż dozwolił dokonać zbawiennego dzieła. Była to już siódma godzina. Posiedzenie trwało ośm godzin. Pogodne słońce majowe już się schylało ku ziemi i rzucało ostatnie łagodne promienie na nieprzeliczone tłumy.

Mieszczanie uradowani szczęśliwem zakończeniem obrad, ujrzawszy marszałków, porwali ich na ręce i zanieśli do kościoła św. Jana. Król przybył do świątyni przez korytarze zamkowe, stanął u stóp ołtarza; otoczyli go posłowie, senatorowie i liczni dostojnicy duchowni. W świątyni natłoczonej publicznością, ksiądz biskup krakowski Turski odczytał przysięgę. którą powtarzali obaj marszałkowie, biskupi, ministrowie, senat, posłowie i cała publiczność, trzymając ręce wzniesione do góry.

Ksiądz biskup Gorzeński zaintonował „*Te Deum laudamus.*" Śpiew z kościoła przeniósł się na ulicę, a głosy płynące z tysiącznych piersi utworzyły jeden tak potężny chór, że zamilkły przy nim organy i zaledwie dosłyszeć można było huk dział grzmiących na placu zamkowym.

Król wraz z posłami o godzinie wpół do dziewiątej wieczorem powrócił z świątyni do sali sejmowej. zasiadł na tronie i polecił marszałkom, aby odebrali przysięgę na nową Konstytucyę, od wszystkich naczelnych urzędów, „komisyj", a przedewszystkiem od komisyi wojskowej; nadto rozkazał król, aby wojsko w całem państwie złożyło przysięgę. Obydwaj marszałkowie sejmu Małachowski i Sapieha, najprzód podpisali akt Konstytucyi 3 maja.

Na tem ukończyła się pamiętna w dziejach naszych sesya Sejmu wielkiego, **3 Maja 1791,**— Stanisław August pożegnany gromkiemi okrzykami „Niech żyje król!" „Niech żyje Konstytucya!" opuścił salę sejmową. Tego samego dnia wieczorem marszałkowie sejmu odebrali przysięgę od członków komisyi wojskowej. Wychodzących marszałków niezliczone tłumy warszawskiego ludu, cechy rzemieślnicze, bractwa z rozwiniętemi chorągwiami, wśród niemilknących okrzyków na cześć Konstytucyi, odprowadziły do ich domów. Po ulicach wspaniale iluminowanej Warszawy, późno w noc przeciągały tłumy, a o mury miasta odbijały się nieustanne okrzyki upojonego radością mieszczaństwa: „Wiwat król!" „Wiwat Konstytucya!" W dniu tym tak wielki, i tak poważny był nastrój umysłów, iż najmniejszy nawet wybryk swawoli, nie zamącił spokoju i wzorowego porządku.

Konstytucya 3 Maja wywołała powszechny zapał w całym kraju, a uczucia ożywiające posłów sejmu i Warszawę, były tylko odbiciem tej powszechnej radości, jaka przejmowała serca ogromnej większości narodu. Wszystkie urzędy Rzeczypospolitej złożyły przysięgę na nową Konstytucyę; niezliczone deputacye z województw, ziem i powiatów, przybywały do Warszawy, aby złożyć świadectwo powszechnego uznania Konstytucyi. We wszystkich miastach Rzeczypospolitej odbywały się wspaniałe, uroczyste obchody, w których niejednokrotnie brali udział liczni włościanie. Można powiedzieć, że w tej pamiętnej chwili drgnęło po raz pierwszy uczucie miłości Ojczyzny we wszystkich warstwach narodu. Dzień 3 Maja jest największem narodowem świętem Polski, dniem odrodzenia, zgody, miłości i harmonii społecznej. Takiego dnia w historyi powszechnej nie zapisał w kartach swych dziejów żaden inny naród!

Przyjmując rozległe reformy tkwiące w Konstytucyi 3 Maja, naród objawił że żyje i ma prawo do życia. W tem ostatniem pokoleniu niepodległej Rzeczypospolitej, które się już w proch rozsypało, były błędy i upadki. — ale żyły w niem wielkie myśli i wielkie serca!

Sławna pieśń legionów „Jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy", powinnaby być hasłem naszem i następnych pokoleń. Każde wielkie hasło ma wtenczas wagę, gdy pojmujemy jego znaczenie. Żyjemy, ale zdawajmy sobie sprawę, jak żyjemy? pytajmy się, o ile to życie nasze ma wartość przed Bogiem, o ile przyczynia się do szczęścia narodu?

Znakomity historyk Józef Szujski napisał te pamiętne słowa: „...zagadka bytu nie polega tylko na tem, aby nie brakło synów tej ziemi, ale na tem, aby z dniem każdym przyrastała liczba rozumnych, rządnych, moralnych jej synów."

Nie ci są Polakami, co się urodzili na polskiej ziemi, nie ci co mówią po polsku—ale ci, co mają uczucie polskie, ci, co miłując język i przeszłość, pracują dla przyszłości narodu.

W końcu XVIII wieku dwa narody w Europie tworzyły nową konstytucyę: Francuzi i Polacy. We Francyi w tym czasie rozpoczęło się straszne prześladowanie Kościoła i Wiary katolickiej. Naród polski przez ugruntowanie rządu i prawdziwej wolności, podnosił się z wiekowych błędów i upadku, ale swoje odrodzenie i przyszłą pomyślność opierał na Wierze katolickiej. Pierwszy artykuł Konstytucyi 3-go maja stanowi: iż religia katolicka jest panującą w Polsce, a tych Polaków, którzyby odstąpili od Wiary ojców, uważa za zdrajców i przeniewierców Rzeczypospolitej. Jak niegdyś rycerstwo nasze od bitwy pod Lignicą aż do odsieczy Wiedeńskiej, przelewało krew w obronie chrześcijaństwa, uważając walkę za wiarę, jako obowiązek wskazany od Boga, — tak i to ostatnie pokolenie niepodległej Rzeczypospolitej nie sprzeniewierzyło się przeszłości, owszem stanęło jawnie przy religii katolickiej, widząc w wyznawstwie jej, posłannictwo Polski. Czyliż my dzisiaj obchodząc stuletnią rocznicę Konstytucyi 3 maja, w której naród złożył najszczytniejsze dowody swego odrodzenia, mielibyśmy się zaprzeć tego ducha, który ożywiał naszych przodków. Czyż możemy zapomnieć o tem, że jak dziadowie nasi w dniach chwały i potęgi Rzeczypospolitej, tak i my dzisiaj, wśród strasznych klęsk i ucisku, jesteśmy jedynym, ostatnim narodem katolickim, żyjącym na kresach wschodniej Europy. A straszniejszy wróg zagraża nam obecnie, niż niegdyś Tatarzy i Turcy, — to chytra, podstępna, pyszna swoją potęgą, schizmatycka Moskwa.

Oświata, dobrobyt, są to wielkie siły; powiększajcie, pomnażajcie je; ale pamiętajcie o tem dobrze, że one same ani zbawią, ani ocalą narodu od zagłady. Wróg nasz wie o tem, że największą naszą mocą jest wiara katolicka, dlatego tak strasznie prześladuje ją, i gdyby mógł, toby iskrę wiary zniweczył w piersiach niemowląt. Nasze istnienie, cała nasza przyszłość, polega na silnem stanowczem wyznawstwie wiary katolickiej. Albo na tej nieszczęśliwej ziemi naszej, pełnej łez i mogił, zjednoczeni uczuciem wiary, przetrwamy gniotący ucisk... albo sprzeniewierzymy się woli bożej — i zginiemy!

Ach ludzie polski! nie wierz tym, którzy cię chcą oświecać lub uszczęśliwiać bez Boga i prawa bożego! — to są albo umysły zbłąkane, albo zdrajcy i przeniewiercy wobec Kościoła i Ojczyzny.

Młodzieży polska! Bóg pozwolił ci obchodzić stuletnią rocznicę największego dnia dziejów naszych. Niechże te zasady, które naród czcił przed stu laty w tym dniu, będą wyryte głęboko w twojem sercu i umyśle. Niech to święto zgody i harmonii przeniknie twego ducha, bo wśród waśni społecznej zginiemy — zgodą, pracą, jednością serc, przyspieszymy nasze odrodzenie.

Módlmy się w tym dniu stuletniej pamiątki Konstytucyi 3 maja, aby nieskończone miłosierdzie Boże natchnęło nas duchem miłości i zgody; i aby to pokolenie, które w sto lat po nas będzie święcić dwóchsetletnią pamiątkę Konstytucyi, obchodziło ją wśród innych warunków, jak my!

RZEMIOSŁO.

Nauka, sztuka i rzemiosło, lubo nie są równorzędnej wartości, wszakże wzajemnie sobie dopomagają i obejść się bez siebie nie mogą. Nauka uwydatniając się w zewnętrznej formie, wytwarza sztukę; sztuka zaś szukając w materyi ciała, aby się weń oblec, posługuje się rzemiosłem. Udoskonalone nawzajem rzemiosło, posiłkuje się nauką i sztuką, a bez nich jest niedokładne i niedoskonałe. Rzemieślnik co chce z kawałka drzewa, stół, szafkę, biórko wyrobić, ma na myśli rysunek, formę przedmiotów, które ma wykonać, musi być przeto obeznany z pewną liczbą linij geometrycznych i rozmiarów, podług których stół, biórko, ukształtowane być powinno: a w tem leży jego n a u k a. Aby zaś nadać wdzięczną formę i upiększenie przedmiotowi nad którym pracuje, posiadać musi pewne czucie, twórczość; a na tem polega jego s z t u k a. Gdy zaś wszystko już w swej myśli przygotował, chwyta za hybel, lub dłuto i inne potrzebne narzędzia, i przy pomocy wprawnej ręki wykończa swe dzieło, to jest wykonywa swoje właściwe sobie r z e m i o s ł o. Nauka, pomysł rozpoczyna i upiększa, ręka wykonywa, a przedmiot tak wykończony, jest dziełem umiejętnego rzemieślnika, stosującego swą naukę talent, zdolności, w fachowej robocie.

Wielkie pomniki, grobowce, wspaniałe katedry, które po dziś dzień podziwiamy, są rzeczywistem świadectwem nauki, zdolności i pracy ojców naszych, i uczuć religijnych które ich ożywiały, niemniej dowodem jedności wszystkich współpracujących, albowiem są dziełem zjednoczonej nauki i sztuki z rzemiosłem. Głównym twórcą ich, był niezaprzeczenie wyższy nad innych człowiek, co pierwowzór ich obmyślił, sercem i rozumem go pojął — ale będąc wyrazem myśli i usposobień wszystkich, zespolony ściśle z rzemieślniczem kołem, któremu po części, ducha swego udzielał, kierując pracą swych rzemieślniczych braci, przeszedł do potomności jako majster w budownictwie, rzeźbie, ciesielstwie lub malarstwie.

Rzemiosło jest sługą, przyjacielem i towarzyszem nauki i sztuki, uczestnikiem w ich przedsięwzięciach, a historya jego zapisana na wszystkich utworach, zdobiących masę przedmiotów, cały okręg ziemi. Rzemiosło upiększyło, wzbogaciło ziemię; korzenie i kamienie ustąpiły przed pługiem, a miejsce chwastów zajęło zboże, kwiaty, owocowe drzewa i zielone nawodnione łąki. Rzemiosło pokierowało i sprowadziło wody, obsuszyło błota, dobyło źródła, pochyliło wzgórza, napełniło doliny, wybudowało drogi, mosty, domostwa, i poczciwą mozolną pracą, objęło w posiadanie kawałek ziemi. Rzemiosło wydobywa z jej głębi węgiel i żelazo, węglem ogrzewa domy nasze, a miasta gazem oświeca. Z żelaza wytwarza potężne maszyny, które przenosząc nas szybko z miejsca na miejsce, są poniekąd motorami, mającemi wiązać ludzi braterstwem myśli, zasad i uczuć.

Ale wśród tego obecnego wzrostu rękodzieł i przemysłu, dają się widzieć ujemne jego strony, a chorobliwości znamiona.

Dawniej rękodzielnicy zażywali spokojnego życia, uorganizowani będąc w cechy i korporacye, niepotrzebujące niczyjej opieki. Rękodzielnictwo tak ukształtowane, nie znało podówczas stagnacyi w handlu; przesilenia przemysłowe spowodowane konkurencyą były mu nieznane, nie zachodziła bowiem dzisiejsza różnica między ofiarowaniem pracy, a jej żądaniem, czyli ten niewłaściwy obecny stosunek mnogości rąk, do ilości zakupowanych wyrabianych przedmiotów. Dawne zyskowne przedsiębiorstwa domowego przemysłu zmalały, a nawet znikły, a emigracya mieszkańców wsi, udających się do miast, przymnaża rąk szukających zarobku,

Nieograniczona wolność pracy, zadała niewątpliwie wielki cios domowemu przemysłowi. Dziś już nie idzie o to, aby produkt był doskonały i jak najlepiej wyrobiony, ale aby był najtańszy. Postęp nie zasadza się na doskonałości towaru, ale na jego taniości. Ku temu też zmierzają wszystkie usiłowania wolnej, nieograniczonej konkurencyi, co rzucając masy produktów swych na targ publiczny po zniżonych cenach, chce na ilości ich jeżeli się da zarabiać, co więcej zabić pokrewne sobie fabryczne zakłady. A skoro ceny materyałów surowych nie dają obniżyć, konkurencya odbić się pragnie na cenie wartości ofiarowanej p r a c y robotników w wielkich przemysłowych zakładach. My podobnych u siebie nie mamy, ale ulegamy ich wpływom, albowiem sklepy i targi nasze są przepełnione wyrobami, pochodzącemi z ościennych fabryk. Produkcya jest zwiększona niewątpliwie, ale talent, zdolność, sztuka, wielce na tem utraciła. To co było wyłącznie dziełem jednego rzemieślnika, pochodzi dziś przez ręce trzydziestu. A rękodzielnik wyzuty z miłości warsztatu, widząc się małą tylko śróbką, zazębieniem, machiną, a nie człowiekiem, w ogólnem, obojętnem na los indywiduów fabrycznem kole: nie przywiązany do niego żadną instytucyą, żadną moralną siłą, urządza często strejki, ubożące jego samego, równie jak chlebodawców, a naruszające bieg normalny produkcyi i pracy, od której materyalne i moralne bogactwo społeczeństwa zależy.

Ani mądrość rządów, a tem mniej projekta marzycieli, mogą temu złemu zaradzić. Miłość chrześcijańska jedynie, szlachetna i głęboka w swych pomysłach, a czuwająca nieustannie, ulżyć i w pewnej części za współudziałem samychże robotników tej potrzebie zadosyć uczynić może: jej bowiem powołaniem wnikać w serca klas pracujących, tak tych, co im przewodniczą, jak i tych, co od nich zależą. Aby też założyć pierwsze fundamenta, pierwsze ziarnka piasku, na których stanąć ma budynek naszego narodowego, chrześciańskiego rzemiosła, podejmujemy to pismo, mając w Bogu nadzieję, że pobłogosławi pracy naszej, i pozwoli następnie rozwinąć potrzebne instytucye, ku kształceniu i podniesieniu dobrobytu stanu rzemieślniczego.

W Krakowie, dnia 27 Kwietnia 1891.

Stanisław Górski.

KILKA UWAG
o doniosłości rysunku dla rękodzielnika.

W objawiających się obecnie dążeniach do podniesienia dobrobytu krajowego, wybitna przypadnie rola naszym rękodzielnikom, którzy w ciężkich pracując warunkach, wszelkie mają prawo domagać się od społeczeństwa, wydatnego poparcia swych usiłowań. Podobnie jednak, jak każde prawo w ogóle, nakłada korzystającym z niego pewne obowiązki, tak i w tym wypadku rzeczą rękodzielników naszych dołożyć wszelkich starań, ażeby zadowolić popierającą wyroby krajowe publiczność, a to tembardziej, ileże dostawcy zagraniczni, na targu krajowym zagrożeni, niczego nie pominą, ażeby się ze szkodą wyrobów krajowych utrzymać na dotychczasowem stanowisku.

Jakimże tedy warunkom produkcya krajowa odpowiadać winna, ażeby napływowi wyrobów cudzych zwycięsko sprostać?

Odpowiedź na pytanie to łatwa. Oto potrzeba, ażeby wyroby rękodzielników naszych, przy równej cenie, w niczem nie ustępowały wyrobom obcym.

Czy i o ile dopełnienie tego warunku w pewnych względach w stosunkach obecnych nie natrafi na jakieś znaczniejsze trudności, chcemy poniżej pokrótce rozebrać.

Otóż na doskonałość wyrobu rękodzielniczego, obok materyału, o którym tu mówić nie zamierzamy, wpływa i j a k o ś ć roboty: a to nietylko w kierunku t r w a ł o ś c i produktu, lecz i jego w y g l ą d u z e w n ę t r z n e g o, t. j. jego p i ę k n o ś c i. O ile z jednej strony wyrób, który, jak się wyrażamy, za oczy chwyta powabną stroną zewnętrzną, lecz lichy w całem słowa znaczeniu co do wykonania — jako oparty na bładze, — liczyć nie może na odbyt stały przez czas dłuższy, a więc rzetelnej pracy ostatecznie trwale nie zaszkodzi — o tyle i z drugiej, produkt sumiennych choćby usiłowań, nie zapewni sobie takiego poparcia, jakieby mu się ze względu

na jego trwałość należało, jeżeli niezgrabny, razić będzie formą niepiękną.

Przedstawmy sobie dla lepszego sprawy tej uzmysłowienia wyroby, które człowieka wykształconego w codziennem jego życiu otaczają ciągle, a więc dajmy na to: łóżka, szafy, stoły, lampy, świeczniki, naczynia itp. Przedmioty te, jeżeli należycie i przez czas jak najdłuższy mają służyć, przedewszystkiem muszą być mocne i trwałe. Gdyby jednak nadto sprzęty te miały być zarazem ozdobą pomieszkania, tak, ażeby wykształcony a majątkowo dobrze się mający człowiek, lubujący się w rzeczach pięknych, z przyjemnością na nie spoglądał, toż rzecz jasna, że obok trwałości kształt ich i wykończenie zewnętrzne, zadość czynić musi wykwintnemu smakowi właściciela.

Jakkolwiek tedy wątpliwości nie ulega, że zakłady przemysłowe, produkujące rzetelnie i trwale, a nie liczące się warunkiem piękna, znajdą odbiorców, lecz oczywiście w kołach ludzi o guście mniej wyrobionym, nie czujących potrzeby pięknego otoczenia, a więc zazwyczaj u mniej zamożnych, — tak również jest rzeczą stwierdzoną, że chcący rozszerzać koło odbiorców swoich i na warstwy zamożniejsze, nastręczające zarobek większy, poszukujące rzeczy pięknych, na warstwy, umiejące ocenić i wynadgrodzić włożoną w przedmiot pracę inteligentną, która przecież wartość jego potęguje kilkakrotnie — udoskonalić musi wyroby swoje w kierunku zewnętrznego wyglądu.

Jeżeli przeto produkt zagraniczny o robocie tandetnej, obliczony tylko na efekt zewnętrzny, nie zdoła na seryo górować nad rzetelną pracą swojską — to z drugiej strony wielkiem niebezpieczeństwem zagrażają jej wyroby obce, dobre i piękne.

Co do trwałości i sumienności roboty, toż prace rękodzielników naszych w niczem nie ustępują najlepszym wyrobom obcym — ażeby zaś konkurować z nimi mogły i pod względem piękna, potrzeba specyalnego uzdolnienia w kierunku jak do dziś nie dość jeszcze odczutym. O ile bowiem warsztat, w którym młodzież rzemieślnicza przez lat kilka pracuje pod okiem doświadczonego w zawodzie majstra, wszelką daje sposobność należytego technicznego wykształcenia się — o tyle jednak nauka warstatowa wcale nie wyrabia zdolności i biegłości ucznia w najważniejszym z przedmiotów, kształcących w kierunku piękna, t. j. w rysunku.

Ażeby wykazać dowodnie, że w istocie i przedewszystkiem zrozumiany należycie rysunek i znaczna w nim wprawa, zdoła rękodzielnikowi zapewnić możność konkurowania z zagranicą, przytoczę następujących kilka wprost z życia wziętych uwag.

Na ostatniej w roku 1889 odbytej wystawie światowej w Paryżu, widywałem codziennie ludzi, notujących i szkicujących przedmioty wystawione w rozmaitych działach artystyczno-przemysłowych, jak artystycznego stolarstwa, ślusarstwa, bronzownictwa, tokarstwa itd. Byli to sami rękodzielnicy, którzy oceniając trafnie doniosłość wystawy i wartość artystyczną przedmiotów, korzystali skwapliwie i obficie z bogatego zbioru, interesujących i dla ich zawodu wzorowych wyrobów. Była to dla nich jakoby szkoła praktyczna, a niemal bezpłatna, szkoła wprost im dostarczająca praktycznych a niesłychanie doniosłych korzyści, łatwo dostępnych dla wykształconych i biegłych w rysunku, a niedoścignionych dla rękodzielników, którym ten kunszt jest obcy.

Ale czyż koniecznie światowej wystawy powszechnej potrzeba, do naocznego stwierdzenia nieocenionej doniosłości tej sprawy? Czyż zdarzające się od czasu do czasu, a coraz częściej, wystawy krajowe w różnych miastach, nie nastręczają wykształconemu rękodzielnikowi sposobności obznajomienia się z postępem rozmaitych gałęzi artystyczno-przemysłowych? Kto z rękodzielników wystawę taką zwiedza, nie władając rysunkiem, ten stracił niemal zupełnie poniesione koszta i zachód — zobaczy chyba, dokąd jego koledzy w zawodzie dochodzą i dojść zdolają, wyniesie przygnębiające wrażenie własnej w tym kierunku niemocy, i zapóźno pożałuje, że w czasie swoim czy to z własnej czy z cudzej winy ominął sposobność przyswojenia sobie tego dzielnego środka obrony, w pokojowej walce produkcyi międzynarodowej.

Charakterystyczny i ciekawy w tym kierunku ustęp, który podczas zwiedzania wystawy paryskiej znalazłem w sprawozdaniu jednej ze szkół fachowych, niech mi wolno będzie przytoczyć poniżej w wiernem tłomaczeniu: „...A szczególnie rysunek wielką ma wartość i doniosłe przedstawia korzyści, potrzebuje go każdy. Kraje ościenne, które nieżyczliwie i z zazdrością spoglądają na nas, jak Anglia, Niemcy, Włochy, olbrzymie ku podniesieniu nauki rysunku czynią usiłowania. Uczeń obznajomiony z rysunkiem należycie, staje się później pracownikiem doskonałym, który wybornie pogodzić zdoła: rzetelne w materyale wykonanie ze względami piękna, i spotęgować tak wartość wyrobu stokrotnie. Nie wolno nam tedy w pracy ustawać, należy młodzież naszą doskonale przygotować do wielkiej w tym kierunku rozprawy między narodami, i zapewnić jej z góry zwycięztwo. Najskuteczniejszą dla niej bronią w celu uzyskania w tych zapasach przewagi, będzie właśnie rysunek".

Temi zasadami kierują się też Francuzi od dawien dawna, a przeprowadzając z całą świadomością zasadę łączenia względów estetyki z rzetelnem wykonaniem technicznem, zjednali oni wyrobom swoim sławę światową, przysparzając zarazem warstwie rękodzielników niewidzianą u nas zamożność.

Prócz wystaw jednak i inne jeszcze środki, nietylko że ułatwiają postępowemu rękodzielnikowi poinformowanie się co do stanu przemysłu, lecz nadto i dostarczają mu stosownych okazów i wzorów. Wychodzące bowiem peryodyczne czasopisma, wprost poświęcone sprawom tego rodzaju, zaopatrywane wzorowymi rysunkami różnych, w zakres oddzielnych rękodzieł wchodzących przedmiotów, mają właśnie na celu zawiadamiać interesowanych o wszystkich z biegiem czasu zdobywanych nowościach. Korzyści zaś z przeglądania owych czasopism, które w miastach wielkich, jak Lwów i Kraków, w muzeach i szkołach przemysłowych łatwo każdemu dostępne, znowu oczywiście ten tylko odniesie, kto na rysunku się rozumiejąc, potrafi wzory owe rysunkowe odczytać i praktycznie zużytkować w warsztacie. Dla każdego innego najwyraźniejszy rysunek pozostanie literą martwą.

Potrzebę rysunku dla rzemieślnika i płynące ze znajomości przedmiotu tego praktyczne korzyści, najdobitniej w końcu poświadczy przykład następujący: Obstalunku pewnego przedmiotu, niepraktykowanego dotąd, czy to dla jego właściwości w kierunku technicznego wykonania czy też estetycznej ozdoby, nie może sie zakład rękodzielniczy podjąć mimo tego, że zdolny architekt sporządził wyczerpujący a dla biegłego w zawodzie jasno przemawiający rysunek — a nie może się podjąć dlatego, że nie rozporządza siłami dość wykształconemi, któreby zdołały złożone w rysunku wymagania architekta zrozumieć i uczynić im ściśle zadość. I znowu, a to już namacalnie na własną szkodę, zapóźno niestety, spostrzeże rękodzielnik brak owego oręża, który władającemu nim stanowczą zapewnia przewagę.

Przykładów podobnych, wykazujących dobitnie, że w stosunkach obecnych rękodzielnik bez rysunkowego wykształcenia ostać się nie może w konkurencyi zawodowej, przytoczyć możnaby jeszcze wiele; wyliczanie ich jednak w chwili obecnej już dla braku miejsca niemożebne, nie bardzo może byłoby potrzebne. Inna natomiast sprawa sama się nasuwa i domaga wyjaśnienia, a mianowicie: kiedy, gdzie i w jaki sposób, rękodzielnik obznajomić się ma z ważnym tym przedmiotem, co do którego nauka warsztatowa u majstra nie działa zupełnie. Sprawa to jednak zanadto ważna i doniosła, ażeby ją zbyć kilkoma słowy; pomówimy zatem o niej obszerniej we właściwym czasie.

W Krakowie, 23 Kwietnia 1891 r.

Jan Rotter.

Muzeum przemysłowe i rzemieślnicy.

W roku 1888 byłem przez kilka dni częstym gościem w Muzeum austryackiem dla sztuki i przemysłu w Wiedniu, a to z powodu interesu, jaki miałem polecenie załatwić z dyrekcyą i naczelnikiem biblioteki. Ile razy przechodziłem przez sale zbiorów do kancelaryi dyrektora, zastawałem w nich zawsze większą lub mniejszą ilość ludzi, należących widocznie do sfer przemysłowych i rękodzielniczych. Gdy mi zaś w niedzielę rano wypadło przechodzić przez czytelnię do biblioteki, nie małą miałem satysfakcyę widzieć majstrów i czeladników rzemieślniczych wertujących i studyujących różne wydawnictwa rysunkowe. Mimowolnie nasunęło mi się pytanie, dlaczego u nas w Krakowie, gdzie przecież jest także Muzeum przemysłowe, i tak samo jak w Wiedniu pracują najrozmaitsze rzemiosła, trudno się spotkać z czemś podobnem. Ba, o ile mnie pouczało doświadczenie, nie mogłem sobie przypomnieć, żebym kiedy w niedzielę widział był poważniejszych majstrów, zwiedzających zbiory przemysłowe w krakowskiem Muzeum. Zrazu tłómaczyłem sobie to jak mogłem: to okolicznością, że Wiedeń jest wielkiem miastem, gdzie potrzeby rzemiosł są większe i wymagania stawiane im, znaczniejsze; to znów okolicznością, że Muzeum tamtejsze, jako uposażone bogato przez rząd, rozporządza zapewne środkami, które są w stanie zadowolić potrzeby rzemieślników i udzielić im należytej pomocy w zadaniach ich zawodu. Ale jakoś żaden z tych argumentów nie mógł mi szczerze przemówić do serca i odpowiedzieć trafnie na powyższe pytanie. Naturalnie, że nie mógł, bo z drugiej strony przemawiało co innego: Znając krakowskie Muzeum przemysłowe, wiedziałem, że ono posiada w swych zbiorach do pewnego stopnia równie cenne materyały, jak tamto wiedeńskie; a doświadczenie mi mówiło, że i nasze miejscowe rzemiosła mają właściwie te same zadania do spełnienia, co i wiedeńskie, t. j. że muszą wyrabiać nietylko technicznie trwałe i dobre rzeczy, lecz także rzeczy o ile możności piękne i gustowne, choćby służące do najpospolitszego użytku, bez względu na to czyby były stolarskie, ślusarskie, złotnicze lub dekoracyjno-malarskie i t. p. Rozumowałem dalej, że jeżeli wiedeńscy rzemieślnicy, którzy pobierali najczęściej wykształcenie w szkołach fachowych lub w warsztatach głośnych z dobroci i porządku, nie mają się jeszcze za tak *skończenie wykształconych i pewnych* w swoim zawodzie, żeby nie potrzebowali korzystać z pomocy stylowych i artystycznych wzorów, lub z pouczenia się o pięknie na wzorowych okazach dawnego przemysłu, to cóż dopiero nasi rzemieślnicy! Trudno przecież przypuścić, żeby nasi krakowscy rękodzielnicy i przemysłowcy znajdowali się pod tym względem w warunkach jeszcze korzystniejszych, aniżeli rękodzielnicy wielkiego i sławnego Wiednia, t. j. żeby nie potrzebowali żadnej pomocy w swych zawodach, i żeby dlatego nie korzystali z Muzeum tak, jak korzystają z niego wiedeńscy! Co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. Pozostawało mi więc jedynie przypuścić, że nasze sfery rzemieślnicze nie użytkują tylko dlatego z naszego Muzeum przemysłowego, ponieważ *istotnie nie wiedzą*, w jakim kierunku i o ile ono może im nastręczyć źródło korzyści, lub ponieważ się obawiają, że w razie udania się tam o pomoc, będą się musieli narażać na wydatki i koszta.

Otóż niechajże tych kilka słów usunie raz na zawsze to szkodliwe nieporozumienie. Niechże odtąd pp. rękodzielnicy korzystają ze swych praw do instytucyi, która jedynie dla ich interesu i użytku została założona i bezustannie wzrasta; niechże się garną do niej tem chętniej, że ona nie wymaga od nich ofiar pieniężnych ani żadnych innych. Przeciwnie, im bardziej wyzyskują swoje prawa do niej, tem bardziej ona osiągnie swój cel, i tem więcej znajdzie pobudek do należytego spełniania swych zadań. Równocześnie zaś pp. rękodzielnicy znajdą sposobność wyzyskać jej zasoby dla dobra swych zawodów, co im pozwoli iść ręka w rękę z postępem, rozwijającym się gdzieindziej.

A więc na razie przynajmniej kilka słów o najprostszym sposobie, jak pp. rzemieślnicy mogą korzystać z Muzeum:

Zapewne, że krakowskie Muzeum nie może nastręczyć korzyści bezpośredniego studyowania wzorowych wyrobów dawnego przemysłu na takich okazach, jak je posiada świetnie uposażone wiedeńskie. Skromne środki zakładu nie pozwalały dotychczas nabywać okazów tego rodzaju w odpowiedniej ilości. Ale zato posiada nasze Muzeum bogate materyały, z których pp. rzemieślnicy, artyści i przemysłowcy miejscowi i zamiejscowi, mogą odnieść rzetelną i nigdzie indziej nie dającą się znaleźć pomoc dla swych praktycznych celów.

Taki materyał obejmuje biblioteka naszego zakładu, zaopatrzona i wzbogacana ciągle w wyborowe dzieła w różnych gałęziach techniki zawodowej. W czytelni, urządzonej od kilku lat przy bibliotece, może każdy pracownik przemysłowy otrzymać do przejrzenia, studyowania i pouczania się, zbiór wzorów i rysunków, odnośnie do przedmiotów, które go interesują, lub w których właśnie chce zasięgnąć pomocy. A co ważniejsza, że te wzory dokładne, pełne rozmaitości i przedstawione najlepszemi sposobami, obejmują nietylko całe wyroby, ale także pojedyncze części ich składowe, tak, że mogą stanowić wszechstronne źródło pouczenia. Stolarz, n. p. meblowy może z bogatego wzoru mebli w różnych stylach, wybierać konstrukcye, jakie mu się wydają praktyczniejszemi lub odpowiadają gustowi zamówionego garnituru.

Mieliśmy przykłady, w jakich kłopotach znajdowali się stolarze, którzy nie znając zgoła form gotyckiego stylu, przyjmowali zamówienia na ołtarze gotyckie i kazalnice, byle tylko nie puścić z rąk sposobności zarobku. Na szczęście w zbiorach Muzeum znaleźli obfity pod tym względem materyał, który ich wybawił z przykrego położenia. Są jednak niestety inni stolarze w naszem mieście, którzy wolą kopiować najpospolitsze szablony na szafy, biórka i kredensy, i płacą za takie szablony stosunkowo duże pieniądze, zamiast korzystać bezpłatnie z cenniejszych bez porównania wzorów. A skoro już mowa o meblach, to tapicer, który ma zadanie wyściełać je a nadto meblować całe pokoje, drapować kotary, zasłony u okien, ma w Muzeum do dyspozycyi nietylko wybór różnego rodzaju barwnych wzorów na wszelkie meble, ale nadto wybór ornamentów i deseni na stylowe tapety, materye pokrowcowe i t. d. — Ślusarz, od którego dziś wymaga się coraz częściej okuć do drzwi, krat do okien, balkonów i bram, kutych w sposób artystyczny, lub stylowych latarń do sieni, znajdzie w Muzeum szczególnie bogato uposażony dział odnośnych projektów, dzisiejszych a zwłaszcza dawnych: gotyckich, renesansowych, baroko i rokoko. Mnogość motywów w każdym z tych stylów pozwoli mu kombinować nowe pomysły, mniej lub więcej łatwe do wykonania. Cóż dopiero mówić o działach przemysłowych, których praca opiera się na zjednoczeniu różnych technik i wzorów, a których niski stan w naszem mieście wywołuje powszechne utyskiwanie. Takim działem przemysłowym jest n. p. malarstwo dekoracyjne lub dekoracyjne rzeźbiarstwo, obejmujące zarazem szablonowe nagrobki cmentarne. Obydwie te gałęzie świetną mogą znaleźć pomoc w zbiorach naszego Muzeum, i to zarówno co do szczegółów ornamentalno-malarskich, jakiemi są barwne ornamenta i ich zestawianie w harmonijne kolory, ale także co do ogólnego przedstawienia dekoracyjnych całości. Miło nam się tu powołać na miejscowych niektórych rzeźbiarzy-dekoratorów, którzy z zadowoleniem wspominają wyniesione z Muzeum wskazówki, nietylko co do budowlanych wzorów plastycznych, ale także co do dzieł pomocniczych, jakie z porady Muzeum nabyli dla stałego czerpania pomocy w swym zawodzie. Jeżeli dla złotnika formy renesansowych wyrobów w kształtowaniu brosz, kolij, kolczyków, spinek, pucharów i t. d. mają szczególne znaczenie, tembardziej że ten przemysł artystyczny był u nas zdawna jednym z najsamodzielniejszych, toć przecie w historycznych dziełach, jakie Muzeum posiada w tym kierunku, i do tego illustrowanych najczęściej barwnie, nastręcza się pożądana sposobność do odrysowania takich wzorów, lub czerpania z nich pobudek do samodzielnych

artystycznych pomysłów. Idąc jeszcze dalej, warto przypomnieć, że nawet rękodzielnictwa hafciarskie i koronkowe mogą doznać w zbiorach Muzeum niemałego poparcia, bo Zakład posiada nietylko rysunki do technicznych sposobów wykonywania różnych gatunków takich robót, ale nawet bogate wzory różnych stylowych haftów i koronek. Jeżeli dotąd korzystali ze zbiorów muzealnych głównie architekci, malarze, artyści i rzeźbiarze, a zwłaszcza w bardzo znacznej liczbie kobiety, to zapewne dlatego tylko, że innym przedstawicielom przemysłu i rękodzieł, nie było wiadomo, iż zbiór ornamentalnych dzieł, jakie stanowią bibliotekę muzealną, zawiera materyał do wszelkich rzemiosł, w których jakikolwiek ornament mniej lub więcej wybitną odgrywa rolę. Teoretyczna część biblioteki obejmuje nadto dzieła, których treść zajmuje się najnowszemi wynalazkami i ulepszeniami na polu technicznego wykonywania różnych rzemiosł, tak, że zarówno stolarzowi, ślusarzowi, lakiernikowi, bronzownikowi, fotografowi, introligatorowi i innym rękodzielnikom, może dawać korzystne wskazówki i przepisy.

Niepodobna w tem miejscu mówić o wszystkich rzemiosłach. Nie należy się także zrażać tą okolicznością, że ten lub ów rękodzielnik nie dozna za jednym razem zaspokojenia swej potrzeby. Trudno zwłaszcza, żeby pp. rzemieślnicy szukali w rysunkach akurat tych samych przedmiotów, których im na razie potrzeba, n. p. takiego rysunku na kredens, jaki sobie w głowie obmyślili; bo, jakkolwiek i takie często się mogą znaleźć, ani Muzeum nie ma przecież na celu pomagania samemu kopiowaniu rzeczy, które już gdzieś zrobiono, ani też rzemiosła — chyba tylko w rzadkich wypadkach — nie są powołane do bezmyślnego kopiowania cudzych wyrobów. Ich zadaniem jest także samodzielna twórczość, którą mogą podnieść i uszlachetnić swój wyrób właśnie przez stydyowanie form na rysunkach wzorowych okazów.

Przy sposobności zwrócimy uwagę na to, jakie korzyści mogą mieć pp. rzemieślnicy z wystaw, któreby powinni urządzać ze swych wyrobów w Muzeach, z konkursów, ogłaszanych przez te instytucye i z odczytów w zawodowych przedmiotach, które wkrótce zostaną wznowione.

Nie ulega wątpliwości, że nasi pp. rzemieślnicy uznają wielką władzę i korzyść z postępu. Oni są niezawodnie przeświadczeni, że to, co wystarczało dawniej, dziś już nie wystarcza. Dawniej dość było wiedzieć, że rzemieślnik umie jako tako czytać i pisać, aby go zaliczyć bez skrupułu do rzędu ludzi postępowych. Dziś znajomość pisania i czytania rozumie się już do tego stopnia sama przez się, u rękodzielników w całem słowa znaczeniu, że tą miarą mierzy się dziś intelligencyę i postępowość chłopa; rzemieślnik zaś, chcąc dziś uchodzić za postępowego, musi posiadać wyższy pogląd na zadania swego zawodu, na jego artystyczne znaczenie i stanowisko. Dlatego obojętności, jaką nasi pp. rzemieślnicy okazywali dotąd Muzeom przemysłowym — bo i we Lwowie nie było lepiej — nie chcemy przypisywać tak smutnym przyczynom, jak brak zrozumienia własnego interesu i brak dobrej woli w wyzyskaniu nakładów, jakie miasto łoży na utrzymanie rękodzieł w świadomości postępu przemysłu na szerszym świecie, lecz wolimy zostać w przekonaniu: że jedyną przyczyną jej był dotychczas brak wiedzy o takiem źródle, i o możebności czerpania zeń pełnemi rękami.

Jan Wdowiszewski.

O naszych książkach.

Kiedy przez Szanowną Redakcyę zawezwany zostałem do napisania czegoś do pisma, które dla rzemieślników ma być wydawane — zastanowiłem się głęboko, cobym to ja, introligator, mógł napisać takiego, coby wszystkich czytelników zajęło?

A no, chyba o książkach, pomyślałem sobie, boć to przecie i w mój fach wpada, i nikomu, kto tylko czytać umie, obojętną rzeczą nie jest — a niema już chyba dzisiaj, dzięki Bogu, u nas w Krakowie takiego majstra, ni czeladnika, ni terminatora nawet, któryby książki w ręku nie miewał i czytaniem pogardzał.

Jak się książki piszą? jak się drukują? — to nie moja rzecz, o tem też pisać nie będę. Ja się znam na tem tylko, jak oprawione być powinny...

Ależ mój miły Boże! jakąż to ja ogromną różnicę codzień widzę, między tem: jak oprawiane być powinny — a jak oprawiane bywają! Nie oskarżam tu nikogo z kolegów moich o złą robotę, bo wyznaję w pokorze że i sam nie jestem bez grzechu.

Słowo jednak powiedzieć chcę, że grzech ten złego i coraz to gorszego oprawiania książek, nie cały ciąży na introligatorach, lecz w znacznej części rozkłada się także na panów księgarzy, wydawców, drukarzów i autorów, a nierzadko i na prywatne osoby, które książkę posiadaną do oprawienia dają.

Słusznie zwą ludzie stulecie nasze: wiekiem telegrafów i pary! Wszyscy czegoś się śpieszą, tak jak gdyby jutra dożyć nie mieli nadziei — a pośpiech ten częstokroć niczem nie usprawiedliwiony i szkodliwy, także i naszemu kunsztowi introligatorskiemu boleśnie się daje we znaki.

Zaledwie autor ostatnie kartki rękopismu odda do drukarni, już dowiaduje się której introligatorni powierzonem będzie zeszywanie dzieła, i już nachodzi ją lub nasela, zalecając niecierpliwie pośpiech. Tłómaczysz się, że jeszcze ci drukarnia ostatnich nie dostarczyła arkuszy — to biegnie do drukarni, tam nudzi i przeszkadza zecerom w składaniu, i wraca po godzinie z wiadomością, że już książka powinna być w introligatorni, bo mu drukarnia za godzinę odesłać tu przyrzekła...

A cóż dopiero, jeżeli introligator nie może zastawić się drukarnią — jeżeli przyzna się, że już przed chwilą, mokre wprost z pod maszyny, arkusze zadrukowane mu zniesiono! Wtedy już niecierpliwy autor z początku grzecznie prosi, w godzinę później krzywi się, a po paru godzinach już po prostu zżyma się i łaje: co to jest żeby tak się guzdrać z robotą, że jego dzieło dotąd jeszcze nie jest gotowe i nie oddane księgarniom...

Jeżeli to jeszcze jest książka cieńka, gładka, w pełnych arkuszach druku, bez dodawanych kartek i bez rycin i bez map — to jako tako, czy to drucikiem, czy nicią, pospaja się na prędce (często na opak) poskładane arkusze — i choć po fuszersku zbroszurowane lub zlepione, wypuszcza się je z warsztatu. Ale niechże będą w tej książce mapy lub tablice większe, które umiejętnie powklejać i przy obcinaniu książki nie uszkodzić potrzeba, i których wklejanie wpierw należycie w prasie wyschnąć musi, nim się twardą oprawę na tę książkę nałoży — to już z pewnością książka taka na termin z góry zakreślony gotową nie będzie, a introligator biedny nasłucha się wymówek i uwag za niepunktualność i niesłowność.

Jeszcze niecierpliwszymi co do tego od autorów, bywają wydawcy cudzych dzieł, — jeszcze od tych mniej cierpliwymi księgarze, którzy twierdzą, że publiczność dopomina się u nich o tę książkę już od trzech dni, i że przeto ślamazarność introligatora im „kundmanów“ odstręcza — a już najmniej cierpliwości okazują panienki pensyonarki i panicze studenci, którzy bądź to poezye, bądź szkolne książki swoje do oprawy przynoszą.

Ileż to razy zdarza się, że książka jeszcze wydrukowaną nie jest, a księgarz lub wydawca poleca już naprzód introligatorowi, żeby na zapas oprawy ozdobne i złocone do tej książki przysposobił, tak, żeby jak tylko z druku wyjdzie, w tę okładkę oblepiona być mogła... To też i oblepia się ją, ale pożal się Boże jak? na wstyd i hańbę warsztatu, z którego taka robota wychodzi — bo okazuje się po wydrukowaniu, że książka jest za cieńka albo za gruba do przygotowanych okładek, albo że okładki są za krótkie, lub też na wyrost za szerokie... A nikt potem nie powie, że to wina jest niecierpliwości nakładcy, tylko każdy bić będzie na niesumienność, niedbałość lub nieumiejętność biednego introligatora!

Przedstawienia, tłomaczenia się i proszenia się o zwłokę, niezbędnie potrzebną do uczciwego wykonania roboty, pa-

dają najczęściej na nieurodzajny grunt, a rzemieślnik zagrożony utratą łaski panów wydawców, musi rad nie rad zobowiązania takie przyjmować — i choćby umiał najlepiej zrobić, choćby nikogo partacką robotą oszukiwać nie chciał, musi fuszerować z pośpiechu.

Z osobami prywatnemi, które jednę lub dwie książki do oprawienia dają, dzieje się również nie lepiej — a z pomiędzy tych, którzy nie chcą mieć żadnej wyrozumiałości na to, że dokładna robota każda wymaga odpowiedniego czasu, nie wyróżniają się często, nawet głęboko uczeni panowie.

Przynosi ktoś do oprawy książkę — to jakby stereotypowem, pierwsze pytanie jest o cenę oprawy, a drugie o czas. Co do jednego i drugiego następuje zwykle długie targowanie się — a rzecz jasna, że jeżeli w jednem lub drugiem rzemieślnik coś pod presyą ustąpi, to dobroć oprawy zawsze na tem poniesie szkodę.

Ileż to razy fakt taki zdarza się mnie i każdemu z towarzyszów mojego fachu, że uczony człowiek przynosi do oprawy ozdobnej dzieło, składające się np. z 40 arkuszy druku i kilkunastu wielkich tablic rysunkowych, które na pół mają być złożone, i środkiem na paskach papierowych lub płóciennych pomiędzy tekstem wklejone. Na zaproponowaną cenę oprawy uczony pan się zgadza, ale co do czasu ani na jotę odstąpić od tego nie chce, że książka musi mu być nazajutrz o tej samej godzinie oddana.

Przypuśćmy, że introligator żadnej niedokończonej roboty na warsztacie w tej chwili niema, i że książka ta natychmiast do roboty wziętą być może.... To i tak każdy, kto kiedykolwiek oprawianiu książek się przypatrzył, lub cokolwiek zastanowienia nad tą rzeczą ma, przyznać musi, że chcąc w słowie się stawić i na żądany termin książkę oddać: musi się całą tę robotę od *a* do *z* powierzchownie bardzo załatwić — czyli czysto po polsku się wyrażając: spartaczyć.

Na drugi dzień punktualnie o oznaczonej godzinie przychodzi uczony pan po swoją własność... ale musi jeszcze „kilka minut" zaczekać, bo właśnie trzeba już tylko z prasy książkę (niedoschniętą) wydobyć i pozłotnikowi ją oddać, by tytuł i cyfry właściciela na grzbiecie książki wycisnął.... „Kilka minut" zapowiedzianych uprzejmie, przeciąga się ku wielkiej niecierpliwości czekającego, niekiedy aż do kilku kwadransów — ale nareszcie wszystko już gotowe: falce jakbądź w prędkości poklejone, wycisk złoty w prędkości może z opuszczeniem jakiej litery, na gorąco wygnieciony, okładki kabłąkowato wygięte, na prędce w ręku rozprostowane, i książka zniecierpliwionemu właścicielowi oddana.

Właściciel książki skoro tylko do domu ją przyniósł, zasiada do pracowania nad nią. Kilka godzin studyuje, kartki przewraca, tekst z rysunkami porównywa; w końcu zmęczony odkłada książkę na bok, by jutro o tej samej porze znowu do niej powrócić.... Ale jakież jego nazajutrz rozczarowanie, i jaki opanuje go na introligatora gniew! Oto książka, która wczoraj wyglądała tak ładnie, dziś już wygląda jakby psu z gardła wyjęta: grzbiet jej złocony stracił zupełnie wczorajszą wypukłość i zaokrąglenie, pomiędzy grzbiet oprawy a grzbiet książki możnaby palec podsadzić, obydwie okładki nie przylegają do książki, lecz pokrzywione sromotnie, zdradzają ochotę do zwijania się w rulon na zewnątrz, przy otwieraniu książki zgrzycze w niej coś przeraźliwie, kartki niektóre rozluźnione, grożą rychłem rozleceniem się na cztery wiatry, a rysunki wczoraj powklejane, istotnie już wysuwają się z książki!

Rzecz jasna, że właściciel klnie w gniewie introligatora, i zarzeka się, że już więcej żadnej w życiu roboty mu nie da — ale to mu nawet przez głowę nie przejdzie, że winowajcą tutaj nie introligator lecz on sam; i wina nie roboty, tylko nierozsądnego pośpiechu.

Dlatego niechaj mi wolno będzie w tym pierwszym numerze pisma rzemieślniczego, w imieniu wszystkich rzemieślników polskich zamieścić prośbę błagalną: Panowie i Panie łaskawe, które nas łaską swoją zaszczycacie. nie przymuszajcie nas do partactwa!

Jeden z introligatorów krakowskich.

Dawniej — a dziś.

Był czas, że go do dziś dnia jeszcze wspominają rzemieślnicy z westchnieniem: „dawne dobre czasy"... „dawne złote czasy"... Ale niestety przeminęły już one dla stanu rzemieślniczego! Dawniej stare cechy miały ostre ustawy, a czeladź w każdem mieście polskiem, w każdym warsztacie polskim, miała podostatkiem roboty, i miała się dobrze. Dawniej majstrowie jednego fachu stanowili jakby jednę wielką rodzinę — a czeladź ze swoim majstrem jeszcze ściślejsze kółko rodzinne, i dzieliła z nim całem sercem każdą wesołość i smutek. Są rozrzewniające z onych czasów przykłady tej miłości i przywiązania, jakiemi czeladnicy i uczniowie otaczali swojego pryncypała, a jakiemi tenże naodwrót ogarniał pomocników swoich gromadkę... Dziś niejeden młody roześmieje się z tego, bo dziś zmądrzeliśmy wszyscy i wiele przeinaczyło się na świecie.

Dawniej „staremu" (jak go czeladź pospolicie zwała) wiodło się w warsztacie, na brak pracy nie narzekał nigdy, braku pieniędzy też nie bywało, głód nie zaglądał do domu nigdy. — Dlaczego? Czyżby dawniejsi majstrowie mądrzejsi byli od dzisiejszych? Czy zapobiegliwsi byli? Czy lepiej około swych interesów chodzić umieli? — Nie! Tylko ten „stary" dawniejszy miał czeladź poczciwą, która kochała go jak ojca, która warsztat jego uważała za swój, a dobro, honor i cześć pryncypała, były dla niej równie święte, jakby swoje własne.

W dobrym warsztacie dostać zajęcie, żeby się w swoim fachu wydoskonalić, było głównem dążeniem czeladnika — a nie umieć dobrze zrobić czegoś, co do fachu należy, uchodziło za największy wstyd. Dopiero gdy czeladnik ze wszystkiem należycie się obeznał, wszystkiego wypróbował, i sumiennie przekonanie nabrał, że obowiązkom majstra i nauczyciela dla młodszych podoła — wtedy dopiero starał się o założenie warsztatu na własną rękę. Wtenczas też i majster dawny, a obecnie już kolega, jak starszy brat lub ojciec ekwipował młodego majstra, i pomagał mu radą i czynem w początkach nowego gospodarstwa...

A dzisiaj? — Postęp we wszystkiem kroczy bardzo szybko. „Czas to pieniądz", powiadają Anglicy, więc my to sobie tłómaczymy na język polski tak: żeby uczyć się jaknajkrócej, wyuczyć się specyalności jakiejkolwiek jak najprędzej, choćby robić źle, byle prędko, aby handel szedł; a już nadewszystko żeby jak najrychlej dobić się samoistności: zerwać stosunki ze swoim majstrem, konkurencyjny warsztat mu pod nosem założyć, walczyć z nim nie lepszością roboty, lecz tańszą ceną wyrobu, oczywiście znacznie gorszego. Rzecz prosta, że jeżeli w miejscowości, w której było dawniej 6 warsztatów samoistnych, powstało nowych 12, a w kilka lat później 18 — a ludzi, coby kupowali towar z tych warsztatów, nie przybyło w równej mierze — bankrutować muszą po kolei, nietylko ci nowi majstrowie, ale i dawni, którzy tandety wyrabiać i za bezcen sprzedawać jej nie umieją. Na miejsce zaś jednych i drugich powstają jeszcze nowsze firmy, jeszcze taniej i jeszcze gorzej od tamtych pracujące — zaczem idzie upadek nietylko finansowy ale i moralny, całego stanu rzemieślniczego. Bo jakimiż-to nauczycielami dla młodszego pokolenia, mogą być ci „nowego stylu" majstrowie? co sami najczęściej niedouczeni, i sami najczęściej nie osobliwie moralni. Nie maszyny to, nie wielkie zakłady fabryczne, na które teraz tak w modzie jest u nas narzekanie, są przyczyną naszego upadku i podkopania naszego bytu — ale to rozluźnienie związków, jakie istniały między rzemieślnikami dawniej, i ten rozstrój, jaki pod hasłem wolnej konkurencyi, przerodził się w istną na polu produkcyi swawolę. Wiadoma rzecz, że cechy dawne, w tej formie, jaką miały w wiekach średnich, niemożliwe są dzisiaj. Ale zarzucając formę przestarzałą, ratujmy treść w niej zdrową, doświadczeniem wieków wypróbowaną, która jeszcze wyratować nas może.

B. Smetański
majster szewski w Wojniłowie.

Wspólnemi siłami!

Dzięki Bogu nie u nas jeszcze, ale już w sąsiednich niemieckich prowincyach, zgromadzenia wyborcze bywają areną krasomówczych popisów dla trybunów ludowych, którzy oklaskiwani przez małych przemysłowców, prawią szeroko o egoizmie przemysłowców wielkich, o jakoby karygodnem gromadzeniu kapitałów przez tychże, i o gnębieniu rękodzielnictwa przez fabryczną produkcyę.

Nie jest bynajmniej zamiarem naszym, brać w obronę przedsiębiorstwa wielkie, jeżeli one istotnie gdzieś krzywdę mniejszemu przemysłowi zrządzają,— ale zastanowić się pragniemy nad kwestyą: czy to jedynie powstawanie wielkich zakładów przemysłowych, jest wyłączną przyczyną podupadania rękodzielnictwa mniejszego? — i czy nie znalazłyby się na nie jakie środki zaradcze?

Zaprzeczyć niepodobna, że coraz to nowe wynalazki i wprowadzanie w ruch maszyn parowych, wytworzyło dla rękodzielnictwa o wiele trudniejsze, aniżeli dawniej stosunki. Nie wszystko da się maszynami robić, ale gdzie tylko możliwem jest zastąpienie ręki ludzkiej maszyną, tam napróżno siliłby się człowiek dwiema rękami swojemi z maszyną konkurować! bo starga siły, zniszczy zdrowie, a konkurencyi nie wytrzyma z maszyną, która produkuje równie dobrze, niekiedy nawet lepiej, a bez porównania taniej. W takich okolicznościach, zamiast walczyć upornie a bezowocnie, o wiele mędrzej byłoby rozważyć, czy wprowadzeniem pewnych reform, nie udałoby się siły rękodzielnictwu przysporzyć i lepiej je do walki z groźnym przeciwnikiem uzbroić?

Cóż stanowi główną wielkiego przemysłu przewagę? i czemuż to on do zawdzięczenia ma, iż może równie dobry, a znacznie tańszy wyrób konsumentom dostarczać? Oto cztery właściwości jego, których najczęściej u małego przemysłowca, rękodzielnika, jest brak:

1. zastosowanie szybko działających maszyn,
2. systematyczny podział pracy,
3. kapitał obrotowy znaczny, a przeto tańsze zakupywanie hurtowne materyałów surowych.
4. większa inteligencya pracowników i kierowników zakładu, a przeto mniej marnowania materyałów surowych, a więcej zręczności w korzystnem spieniężeniu i puszczeniu w ruch handlowy, wyrobionego towaru.

Czyż nie byłoby możliwem, żeby rękodzielnictwo nasze, w tych gałęziach które przez przemysł wielki są przyciśnięte, uzbroiło się w też same oręże, którémi je przemysł wielki pobija? i tym sposobem siły swoje z nim zrównało!

Cztery punkty powyższe redukują się w istocie rzeczy do dwóch: więcej kapitału i więcej inteligencyi przydaćby trzeba rękodzielnictwu, niż ono ich dotąd przeciętnie posiada, — a jedno i drugie osiągnąćby można przez zespolanie drobnych rozstrzelonych sił, w większe a silniejsze potęgi — czyli przez wiązanie się rozsądnych a uczciwych rzemieślników jednofachowych w Spółki.

W **„Rzemieślniku polskim“** o wszystkich rodzajach Spółek obszernie pisać zamierzamy, i rękodzielników polskich do zawiązywania tych Spółek serdecznie zachęcać będziemy. Dzisiaj, w numerze okazowym, ograniczymy się do przytoczenia jednego tylko przykładu, do czego to dojść mogą ubodzy nawet rękodzielnicy, jeżeli rady mądrej usłuchają, i energicznie, rozumnie, rozważnie, a do miejscowych stosunków odpowiednio, wspólnemi siłami zabiorą się do dzieła: —|—

W austryackiej prowincyi Karyntyi, jest niewielka wieś nazywająca się *Ferlach*, założona przed kilkuset laty przez ludzi, którzy z Belgii wyszli a tu się osiedlili. Od kilkuset lat też słynęła ta wieś na okolicę szeroką z dobroci swoich wyrobów rusznikarskich, który to przemysł wykonywany był jako tak zwany „domowy“, i to tak, że w jednej chacie robiono tylko drewniane łoża do strzelb, w innej same lufy, w trzeciej same zamki, w czwartej same śrubki itd. Tym od wieków z pokolenia na pokolenie przechodzącym zwyczajem i podziałem pracy, doszli rękodzielnicy tamtejsi do takiej biegłości i wprawy, że ich wyrobu strzelby uchodziły za jedne z najlepszych w Europie i sławnym wyrobom belgijskim podobnym, ani w dobroci ani w cenie wcale nie ustępowały. Jeszcze przed 40 latmi był ten przemysł ferlachski w pełnym rozkwicie i znać było w całej wiosce zamożność. Ale wkrótce potem horyzont się zaciemnił: Do konkurencyi z pracowitymi puszkarzami stanęli spekulanci, którzy po miastach wielkie pozakładali fabryki, wielkie posprowadzali maszyny, i zasypywać zaczęli targi okoliczne strzelbami swojego wyrobu, o wiele ozdobniejszemi niż ferlachskie, a znacznie od nich tańszemi. Puszkarze ręczni zmuszeni byli również cenę swoich wyrobów zniżyć, zarobek ich zmniejszył się do połowy, — a co słabsi robotnicy, to już wcale walki z maszynową robotą wytrzymać nie mogli, i rzemiosło swe dawne zarzucić, a innego zarobku szukać byli zmuszeni.

Tak stały rzeczy, i trwało to marne szamotanie się aż do czerwca 1886 roku, kiedy znalazł się ktoś poczciwy, co biednym rzemieślnikom głowę oświecił i do zawiązania Spółki porządnej ich namówił. Więc zeszli się majstrowie wszyscy i powzięli uchwałę: że ostatnie 6000 złr., jakie zostały im jeszcze z bogatej niegdyś kasy wspólnej rusznikarskiego cechu, przeznaczają na zakupno maszyny, któraby im pracę ułatwiła — a dalej, że ręcząc jeden za wszystkich, a wszyscy za jednego, zaciągną wspólnie pożyczkę na postawienie domu, w którymby ta maszyna mogła pracować. Cesarz Franciszek Józef dowiedziawszy się o tak mądrem postanowieniu, darował tej Spółce jakąś zapomogę z własnej szkatuły, Sejm i Kasa Oszczędności tamtejsza pośpieszyły też dzielnym pracownikom z pomocą, kapitaliści prywatni widząc dostateczną rękojmię, także nie odmówili pożyczki — i tak zgromadził się fundusz około 15,000 złr., potrzebny na zbudowanie gmachu fabrycznego. W październiku 1887 roku uroczyście poświęcono ten zakład, i zaraz też wielka wojskowa fabryka broni w Steyr, nabywszy wpierw przekonanie, że nie dozna zawodu, zrobiła w tym nowym zakładzie wielkie zamówienie na karabiny repetierowe dla wojska. Gdy się zakład z tego obstalunku godnie wywiązał, nadeszły doń w zeszłym roku dwa nowe zamówienia: karabinów dla landwery węgierskiej, i karabinów dla armii niemieckiej.

Teraz przekonawszy się już że wstąpili na właściwą drogę, uchwalili sobie rusznikarze w Ferlachu pewne poprawki do dawnego statutu: 1) postanowili, że wszystko, co zakład maszynowy na czysto zarabia, przeznacza się na rozszerzanie tegoż zakładu i na zakupno coraz to większych a nowszych maszyn; 2) że każdy pracujący członek Spółki wynagradzany ma być za swoją pracę odpowiednio do jej wartości, żeby jeden nie mógł bogacić się kosztem drugich, a leniwy lub niezgrabny żeby mniejszą brał zapłatę, niż pilny, pracowity i zręczny; 3) nareszcie że 25 prc. z każdorocznego czystego zysku zakładu, przeznacza się na fundusz zaopatrzenia dla członków Spółki i ich rodzin, starców, kalek i niezdolnych do pracy.

Wskutek tych postanowień, już w roku 1890, z dochodów pierwszego domu maszynowego, wybudowano podobny drugi, i nabyto doń nowe maszyny. Obecnie zatrudnionych jest stale w obu tych domach 150 robotników, z których każdy zarabia w przecięciu 2 złr. dziennie — a drugie tyle osób z podobnymże dziennym zarobkiem, zatrudnionych jest w własnych mieszkaniach. Skromny przed pięciu latami kapitał zakładowy, urósł w ciągu pierwszych dwóch lat do kwoty 60,000 złr. — a w ciągu następnych dwóch lat, do sumy 150,000 złr.! — Bilans z końcem roku 1890 wykazuje majątek Spółki w kwocie 149,927 złr., a długów żadnych już. Sprzedano wyrobów Spółki w roku 1890 za sumę 190,436 złr. — ci 150 wspólników, którzy zatrudnieni byli w domach maszynowych, otrzymali w tymże roku 85,962 złr. wynagrodzenia za swoją pracę — a fundusz wdów, sierot i inwalidów tegoż zakładu, wynosi już 28,310 złr.

Nieprawdaż że to piękne są cyfry!

Daj Boże! byśmy podobnie pomyślne rezultaty wkrótce ogłosić mogli, z życia naszych krajowych rzemieślniczych Spółek!

K. L.

Zkąd się biorą na świecie bogactwa?

Opowiedział
KAZIMIERZ LANGIE.

Pan Bóg bogato wyposażył człowieka na ziemi — a duszą nieśmiertelną, sumieniem i rozumem, wyróżnił go, od innych swoich stworzeń.

Sumienie mu dał, by stało na straży czystości jego duszy. Rozum mu dał, by poznał Boga, Jego prawdę i prawo, i według prawa tego zdobywał sobie bogactwa.

Człowiek, który tych dwóch darów Bożych nie szanuje, nie pielęgnuje i nie rozwija w sobie — zatraca w sobie obraz i podobieństwo Boskie — a zwierzęciu podobnym się staje. Człowiek zaś, który na samym tylko opiera się rozumie, a sumienie w sobie zagłuszy — upada jeszcze niżej, bo staje się djabłu podobnym.

Dawniej, póki ludzi na świecie było mniej — choć świat niby cały stał człowiekowi otworem — trudniej było ludziskom żyć niż dzisiaj, i żyli też nie lepiej od zwierząt. Gdy w jednem miejscu za ciasno już im było, rozchodzili się dalej w niezajęte jeszcze przez nikogo pustynie. Tu żywili się jagodami dzikiemi, jakie na drodze spotkali, a nocowali na drzewach albo w jaskiniach. Ale i na drzewach i w jaskiniach, spotykali się często ze zwierzętami mocniejszemi od siebie, z któremi w obronie życia walki staczać musieli. W tych walkach wyginąłby był słaby ród człowieczy z kretesem, gdyby w rozumie swoim nie był szukał ratunku. Więc poznał człowiek, że nie mając ani kłów ani pazurów takich jak niedźwiedź lub ryś, musi wymyśleć sobie broń, któraby siłę jego zwiększyła. Pierwszą bronią taką była pewnie gałęź mocna w lesie wyłamana, potem kamień ostry znaleziony przypadkiem. Potem, gdy trudno było znaleść często kamień podobny, nauczył się człowiek sam go sobie zaostrzać, szlifując kamień o kamień. Krzemieniem takim, w rozszczepaną gałąź wsadzonym, mógł już łeb zwierzęciu dzikiemu roztrzaskać — a mógł i drzewo do użytku strugać i łupać. Trąc kiedyś długo drzewo twarde o miękkie, spostrzegł dym, potem ogień buchnął mu nagle... Pierwszy człowiek któremu się to wydarzyło, przestraszył się pewnie sam mocno. Ale gdy się nad tem zastanowił i rozmyślił, zaczął ognia tego używać do różnych posług dla siebie; więc odstraszał nim w lesie zwierzęta drapieżne od miejsca swego noclegu, i sam się przy ogniu tym grzał, i mięso zwierząt ubitych piekł. Nie mając od natury na ciele kudłów, któreby go od zimna i słoty chroniły, wpadł człowiek na myśl odziewania się ciepłą skórą zwierząt zabitych, których mięsem teraz się żywił. Nie znając innego pożywienia nad jagody leśne i zwierzynę ubitą, za nią się uganiając i z miejsca na miejsce się ciągle przenosząc — nie pomyślał człowiek jeszcze o budowaniu sobie stałych mieszkań, któreby go przykuwały do miejsca. Tak, na pół dziko żyjących ludów, było dawniej na świecie dużo, a i dziś jeszcze, podobne ludy, spotykają marynarze po wyspach.

Ale im człowiek przemyślniejszym się stawał, im broń lepszą wymyślał, i im więcej w użyciu jej się wprawiał — tem częściej udawało mu się zabijać. Ludzi przybywało na ziemi, a zwierzyny ubywało coraz. Z głodu zaczęli ludzie jedni na drugich napadać, odbierać sobie upolowaną zwierzynę, a nawet w braku zwierzyny jedni drugich pożerać. Więc po rozum do głowy. Obrachowali przemyślni ludzie, że jak ciągle tylko polować będą, a innej gospodarki jakiej nie obmyślą — to pożywienia im w końcu zabraknie.

Więc co mądrzejsi zaczęli łapać młode zwierzęta łagodniejszej natury, przyswajać je i pod opieką swoją hodować. Tak daly się naprzód przyswoić owce, które dawały człowiekowi i mleko i mięso i kożuch. Później obłaskawił bydło rogate, które oprócz mięsa i mleka, dało mu skóry wielkie do budowania namiotów. Mając już trzody, wychodzili ludzie z niemi z lasów, szukali łąk i pastwisk bujnych nad rzekami, i mogli już dłużej trochę na jednem miejscu popasać. Ale także nie bardzo długo — bo gdy trawę bydło wyjadło, trzeba było wynosić się dalej i namioty z sobą zabierać. Wtedy poznał człowiek. że zdałyby mu się i takie zwierzęta, któreby mu ciężary nosić pomogły — i przyswoił sobie pomału osły, wielbłądy i konie.

Nie wszyscy ludzie przecież przyszli równocześnie na myśl, żeby dołożyć starania, i przyswajać sobie pożyteczne zwierzęta. Jedni już nowe życie pasterskie rozpoczynali, gdy drudzy jeszcze w myślistwie dawnem szczęścia szukać woleli. Kiedy zaś szczeście im nie dopisało, a głód dokuczać zaczął, to napadali na spokojnych pasterzy, staraniem ich wychowane trzody im kradli, a nierzadko i broniących swojej własności zabili. Tak, że czas długi jeszcze, pasterze przed myśliwcami w odległe stepy uciekać, i kryć się z trzodami swemi musieli — a dla obrony mienia swojego, w większe łączyli się hordy.

Pasterze owi pilnując trzód swych, i przez czas dłuższy na jednem zatrzymując się miejscu, miewali czasu dużo do rozmyślania nad sobą. Więc i co do bezpieczeństwa i co do wygody własnej, wymyślili znowu niejedno, czego dawniej w stanie myśliwskim nie znali. Rozmyślając, nauczyli się z kości lub z drzewa robić iglice, a z jelit baranich sznurki, i już mieli czem wiązać sobie namioty i zeszywać kożuchy ze skór. Patrząc po niebie, nauczyli się gwiazdy poznawać i podług nich kierować się w nocnych swoich wędrówkach. Psa, którego już i myśliwiec do polowania przyswoił, oni taraz nauczyli bronić trzody, od napaści dzikich zwierząt i ludzi.

I lepiej już zaczęło być ludziskom na świecie. Głodu nie było, bo z licznych trzód zawsze można było coś zabić. Zimno nie dokuczało, bo szyte kożuchy zabezpieczały od mrozu. Słota nie nękała, bo namioty ze skór zasłaniały od niej skutecznie. Rozboju nie bali się też, bo gromadami wielkiemi chodzili... Zycie więc było już znośniejsze niż dawniej, i spokojniejsze i wygodniejsze o wiele.

Ale cóż! Trwać tak wieki nie mogło. Bo gdy dla obrony od napaści łączyło się pasterzy wielu z trzodami swemi w gromady, zaczęło coraz częściej paszy brakować dla tych trzód. W lecie pół biedy jeszcze; co tydzień posuwano się z namiotami na stepie, i jakoś przeżywiało się bydło — ale w zimie, gdy z pod śniegu wygrzebywać przyszło suchą trawę lub mech, zdechało z głodu biedactwa wiele... Trzebaby temu jakoś zaradzić, rozmyślali pasterze — i nauczyli się w lecie trawę żżynać, na siano suszyć, i przechowywać na zimę. Bieda już tylko była w tem, że postawiwszy stogi na stepie, a sami dalej idąc, bez opieki żadnej zostawiać je musieli. I zdarzało się nieraz, że odszedłszy daleko, po pół roku w zimie trafić do nich nie mogli, albo znalazłszy miejsce, stogów na niem nie znajdywali, bo im je inni pasterze zabrali... Z czasem znalazła się rada i na to.

Mając przy pasterskiem zatrudnieniu swojem czasu wiele, i na rozmyślanie i na przypatrywanie się dziełom Boskim w naturze — zauważyli i to także, że gdzie jesienią ziarnko trawy upadnie, a deszcz je w ziemię wklepie, tam na wiosnę z tego ziarnka źdźbło wyrasta, i kłos z podobnemiż ziarnkami. A że już nieraz co grubsze ziarna traw jeść próbowali, i przekonali się że pożywne i smaczne — więc to zachęciło ich do próbowania, czyby pomagając naturze, więcej tych dobrych ziarn mączystych rozmnożyć się nie dało? Więc robili tak, jak to przyroda sama robi: Wytrząsali ziarnka dojrzałe na ziemię, i wklepywali je w nią. Gdy ziemia była twarda, że się wklepać nie dało, to kijem albo kością ostrą poruszyli ziemię, spulchnili. Miejsce to zapamiętali sobie pasterze, ogrodzili, i poszli dalej z trzodami. Ale jakaż była ich radość, kiedy na to samo miejsce wróciwszy, znaleźli z każdego posadzonego ziarna wyrośnięty krzak o kilkunastu kłosach, a w każdym kłosie po kilkadziesiąt ziarn!... Zrobiwszy to doświadczenie raz i drugi, częściej i coraz więcej zasiewać zaczęli, zawsze do tego trawy o najmączystszem ziarnie wybierając. Tak zaczęła się na świecie uprawa, najpierw jęczmienia, potem pszenicy, żyta i owsa. Z biegiem lat robili ludzie dalej doświadczenia różne. Doszli, że im lepiej ziemię przed siewem się spulchni, tem większe i obfitsze rodzą się na niej kłosy. Doszli że większy urodzaj bywa na miejscu stratowanem i zanieczyszczonem przez

bydło. Doszli że jedne gatunki zbóż siać należy z jesieni, a drugim sprzyja siew wiosenny. Doszli że więcej urodzi się zboża, gdy inne trawy i chwasty między niem się wygubi. Doszli nareszcie, że siejąc i zbierając ziarno dla siebie, otrzymują zarazem słomy wiele, na paszę zimową dla bydła.

Poznali też ludzie dalej, że mając już zapewnioną żywność z uprawianego ziarna, i mniej już przeto potrzebując mięsa, mniejszemi odtąd koło domu mogą się obywać trzodami. Więc znowu rozmnożeni rozdzielali się. Jedni, którym dawne próżniacze życie podobało się lepiej, poszli z trzodami swemi szukać pastwiska dalej. Drudzy, którym się życie koczownicze i włóczęga sprzykrzyła, a których praca nie odstraszała, woleli z cząstką bydła zostać na miejscu i w pocie czoła dorabiać się chleba.

Tak wzniósł się człowiek na trzeci cywilizacyi stopień — z pasterza stał się **rolnikiem.**

Na miejscu osiadłszy, pomyśleli też rychło rolnicy o wygodniejszych mieszkaniach. Gdzie był blisko las to z drzewa, gdzie go nie było to z kamienia, gdzie i tego brakło to z ziemi, budować sobie zaczęto chaty, na których dachy długo jeszcze ze skór bydlęcych były robione, bo nie znano zrobić ich z czego innego. Później, później, poznano, że skóry na co lepszego się zdadzą, a słomą twardo w kiczki wiązaną nauczono się dachy poszywać. Dla bydła koło chat robiono zagrody żeby nie rozbiegało się po stepie; latem pasiono je w pobliżu, a na zimę słomę i siano chowano w stertach dla niego.

Z czasem nauczył się człowiek osiadły, ziarno rozcierać na mąkę, a z niej wypiekać chleb. Z roślin niektórych nauczył się otrzymywać włókno, a z niego znowu robić nici, sznury i tkaniny. Podobnież wełnę owczą nauczył się prząść i tkać z niej odzież dla siebie. Grzebiąc w ziemi odkrył w niej rudy różne, które wytapiając w ogniu otrzymywał metale: najprzód cynę i miedź, później żelazo. Z tych nauczył się przemysłem i dochodzeniem wyrabiać narzędzia przeróżne, które mu pracę około ziemi ułatwiały, i w innych czynnościach wielce pomocnemi były. Z żelaza zrobił sobie już siekierę i dłuto i nóż — miał czem już bez mordęgi wielkiej drzewo ciosać, zwierzę zakłuć, i siebie bronić w potrzebie. Z żelaza też zrobił motykę i rydel, czem znowu ogromnie ułatwił sobie robotę około ziemi, nie musząc jak dawniej kijem i palcami w niej dłubać. A kiedy jeszcze pług zbudował i zwierzęta do niego zaprzągł, to już ulgę wyświadczył sobie setną, i mógł teraz dziesięć razy tyle pola uprawić, niż dawniej dziesięcioma palcami.

Łatwo to w jednej godzinie opowiedzieć nam dzisiaj, jak człowiek rozumem, przemysłem i pracą, dorabiał się tych wszystkich rzeczy po trochu, i los swój coraz poprawiał. Ale pomyślmy jeno, ile to pokoleń minąć, i jedno drugiemu myśli swe przekazywać musiało, i wiele to czasu upłynąć musiało, nim człowiek na te pomysły różne przyszedł, i nim je wykonać zdołał — i wiele to biedy i wiele znoju użyć on musiał, nim z dzikiego myśliwca, nim z na pół dzikiego wagabundy pasterza, przeistoczył się w osiadłego i zamożnego rolnika!

Zamożnego powiadam, bo chociaż nam dziś do zbytku przyzwyczajonym, człowiek ten wydawać się może ubogim, to w porównaniu z tem czem był przedtem, i w porównaniu z innymi ludźmi współczesnymi, był on już w całem tego słowa znaczeniu bogaczem. On to dopiero zrozumiał, że do bogactw jakie Pan Bóg rozsiał w przyrodzie, on dołożyć musi ciężką i przemyślną swą pracę, by te bogactwa sobie przyswoić. On też pierwszy dopiero przestał cierpieć głód, i on pierwszy posiadł ustaloną własność, którą mógł dzieciom swoim przekazać.

Człowiek który tylko z polowania żył, nie miał własności żadnej. Przebiegał puszcze coraz to inne; co zabił dziś to i zjadł, resztę rzucał, bo ani schować nie miał gdzie, ani nosić długo ze sobą nie mógł.

Pasterz niby to już posiada coś na własność, bo ma owce, krowy i konie. Ale własność to bardzo niepewna i utrzymanie życia niepewne. Wędrując dniami i nocami za paszą, zalazł na grzązkie moczary, zgubił bieg rzeki, zabłąkał się w pustyni, nie znalazł paszy, nie znalazł wody, napadli go źli ludzie albo drapieżne zwierzęta — i wyzdechała, albo wydartą mu została, albo rozpędzoną na cztery wiatry trzoda, która całem jego była bogactwem. I znowuż biedny pasterz od początku dorabiać się musi, albo z głodu napowrót myśliwskiego imać się musi rzemiosła.

Inaczej rolnik. Ten z doświadczenia już wiedział, że jednego roku urodziło mu się więcej, innego mniej — więc z roku na rok zachowywał sobie od przypadku ziarna trochę i przędziwa i skór. Stawiał chatę, która na lat kilkadziesiąt wystarczyć mu miała. Robił sobie narzędzia i sprzęty, które wiek jego przetrwały. Przychowywał bydlęta nie tak na los szczęścia jak pasterz, lecz pod ochroną ogrodzenia i dachu, karmiąc z ręki i osłaniając przed słotą, przed napaścią, przed mrozem i przed głodem. To też przychowywał go także więcej niż zużytkować mógł, i dzielił je między dzieci przy śmierci. To były wszystko bogactwa — czyli jakbyśmy je dziś nazwali: kapitały — czyli oszczędności z lat dawniejszych na lata przyszłe.

Po ludziach onych następowały dzieci, wnuki i prawnuki, i odziedziczali po nich i tę ziemię uprawioną, i te chaty, i to bydło, i te narzędzia, i te doświadczenia ich — do których znowu każde pokolenie coś dołożyło, bo coś nowego w ziemi znalazło, czegoś nowego nauczyło się przez życie, i wymyśliło coś nowego, na pożytek swoich znowu następców. Tak wzrastał z pokoleniami rozum ludzki, a z nim wzrastały pomału i bogactwa.

Wzrastały bogactwa ludzkie w ogóle na ziemi, ale nie zawsze wzrastały one dla każdego pojedynczego człowieka. Bo tak jak dziś, tak i od początku świata, rozmaicie z tem bywało. Jeden choć po rodzicach 20 morgów ziemi dostał, ale próżniak był, zasiać nigdy w porę nie zdążył, nigdy mu się nie rodziło, i nędzne życie wiódł. Drugi na trzech morgach poczynał, Pan Bóg mu błogosławił, chleba z nich miewał dwa razy więcej niż potrzebował — więc od tamtego głodnego próżniaka za zboże co roku ziemi morgę kupił. Po dwudziestu latach próżniak tamten nie miał już nic, a ten pracowity trzymorgowiec dawny, już 23 morgi w spuściźnie dzieciom swoim zostawiał.

Tak jedne majątki rodzinne rozpływały się i marniały, inne znowu rosły z czasem do stu i do kilkuset morgów — w miarę pracowitości i zabiegliwości właścicieli.

W każdym razie majątek i dobrobyt ludzkości rolę uprawiającej rósł — a w miarę jak rosła i ta ludność, rozszerzała ona swe gospodarstwa, ziemi coraz więcej w posiadanie brała, lasy paliła, pastwiska odwieczne pruła pługiem, pniaki korczowała, i dzikie ziemie pracą twardą przerabiała na użyteczne role.

Nie podobało się to próżniakom, którzy bez pracy żyć chcieli, i zdawna zazdrośnem okiem na dorobek i dostatki rolnika patrzyli. Więc myśliwcy i pasterze niejednokrotnie w większe bandy się łączą, i napadają na gospodarstwa rolnicze.

Ale nie w ciemię bici rolnicy umieją się już bronić. Budują chaty przy chatach, otaczają je częstokołem lub rowem, uzbrajają swoją młodzież. Mało tego, bo czasem i ludność całej wioski okazuje się za słabą do odparcia dzikiego napadu. Więc po kilka wiosek o milę i dalej odległych, wiąże się w gminę lub zawiera między sobą przymierze, że jedna wieś drugiej z pomocą pośpieszy, gdy ognie zdaleka zobaczy, na słupach wysokich pozapalane na znak. I zdarzało się często już teraz, że rabusie choć licznie wioskę jaką napadli, obskoczeni zostali przez rolników, ze wszystkich stron na pomoc bieżących, i byli przez nich pobici, odparci, i do ucieczki zmuszeni.

„Precz z własnością!“ wykrzykiwały próżniacze tłumy. „Precz z płotami, ogrodzeniami i domami! Wy macie chleb a my głodni, więc nam go dajcie; a jak nie, to oddajcie nam ziemię, i bądźcie tak samo głodnymi jak my“.

Na to odpowiadał im rolnik: „Ta ziemia nadaną mi jest najprzód przed Boga a potem przez naszego króla i jest moją własnością. Ja w nią włożyłem mą pracę. Ja z drzew, pniaków i chwastów, rękami własnemi oczyściłem ten mój ziemi kawałek. Wybierałem z niego korzenie i kamienie. Ogrodziłem go od zwierząt dzikich i ludzi dzikich napaści.

Skruszyłem twardą tej ziemi skorupę, narzędziami jakie sam wymyśliłem i zrobiłem. Skropiłem tę ziemię potem moim, który mi z czoła kapał wśród pracy twardej, o jakiej wy i pojęcia nie macie. Naniosłem na tę ziemię nawóz zwierząt moich, i rozmięszałem go z rozkruszoną skibą. Wrzuciłem w tę ziemię ziarno, które z przeszłorocznej pracy mojej nie zjadłem lecz zaoszczędziłem. I oto rośnie mi z niego dzisiaj nadzieja — i ota ta ziemia dawniej nieurodzajna i dzika, dzisiaj przez pracę moją przyswojona, zaczyna odpłacać mi wdzięcznie trudy, które około niej podjąłem. — A wyż chcecie dziś bym zaprzepaścił tę wieloletnią mą pracę, bym oddał wam tę ziemię, byście z niej znowu dzikie pustkowie zrobili?

„Tobie łowcze 10 mil puszczy nie wystarczy na to, byś przez cały rok głodnym nigdy nie był. Tobie pasterzu mila kwadratowa nie wystarczy, byś trzody swe na niej utrzymał. A mnie rolnikowi wystarcza jeden morg ogrodu na wyżywienie mnie z rodziną, gdy pracę moją weń włożę, i gdy wy nie zniszczycie mi tej pracy mojej owoców.

„Zazdrościcie mi moich dostatków — to róbcież także tak, jako ja robię. Porzućcie próżniacze wasze zajęcia, pracujcie tak jak ja — a możecie być równie szczęśliwi."

I znowu część ludzi próżniaczych poszła za tą radą rozumną, osiadła na roli, i jęła się pracy — a część druga lenistwo miłując więcej niż dostatki, rozeszła się po lasach i dalej żyć wolała z rabunku.

Żeby skuteczniej bronić się od najazdu, również do potęgi rozrodzonych z czasem pasterskich dzikich hord, zaczęły gminy rolnicze łączyć się z sobą w większe całości państwowe, i wybierały sobie wodzów, książąt lub królów, którzy w czasie spokoju krajami temi rządzili, a w czasie najazdu na czele wojska, mienia narodowego bronili. Resztę ziemi, która jeszcze w państwie takiem przez nikogo zajętą nie była, brali w swe posiadanie owi wybrani przez naród książęta lub królowie — i rozdawali ją znowu kawałkami na własność ludziom, którzy się zasłużyli w narodzie. A już najczęściej darowywał król znaczne obszary ziemi dzieciom wojownika, który poległ w bitwie z najezdnikami, w obronie swojej ojczyzny.

Tak ludzie rozradzając się, rozbierali pomiędzy siebie ziemię dopóki jej stało — a gdy już każdy ziemi kawałek miał właściciela swojego, zaczęto ją dzielić, sprzedawać i kupować.

Tymczasem ludzi jeszcze przybywało na świecie, a ziemi już nie. Dalej, dalej, wszyscy właścicielami ziemi być nie mogli. Szczęściem przybywało też i potrzeb różnych ludziom dawniejszym — i w miarę przybytku bogactw, więcej wygód im się zachciało. Więc ci, którzy ziemi nie mieli, uczepiali się przy tych, którzy jej mieli dużo, już to jako dzierżawcy, już jako wyręczyciele albo pomocnicy, w pracy rolniczej. Niejeden z tych, co napracował się przez życie całe, chciał na starość odpocząć, więc żywił takich, którzy za niego robili. Dalej taki co miał i ziemi wiele i sługi do obrabiania jej, zapragnął wystawić sobie dom większy i wspanialszy, ale go sam zbudować nie umiał. Więc znaleźli się z czasem tacy, co ziemi nie posiadając, nauczyli się dobrze budować, i tem zarabiali na życie.

Inny nauczył się pługi wyrabiać, i pokazało się, że lepsze były niż te, które dawniej rolnicy sami sobie robili. Więc chętnie każdy rolnik dał kowalowi korzec żyta za dobry pług. Kowal wyrobił 40 pługów co roku — za to 40 korcy zboża dostał. Był taki co połowę tego zarobionego zboża przejadł, a drugą połowę przepił — ten umierając, nic dzieciom nie zostawił. A był kowal inny, co 20 korcy zboża z rodziną swą zjadł — a za drugie 20 korcy, co roku morgę ziemi kupił — i syna gospodarzem uczynił.

Gdy ludziom lepiej zaczęło być, już boso chodzić nie chcieli — więc znalazł się taki co buty nauczył się szyć. Inny pokazał znowu, że suknie piękne robić umie; inny sieci do łowienia ryb; inny zaprzęgi na konie. To znowuż byli tacy, co wozy nauczyli się budować, a rolnicy dawali im chętnie za wóz dobry jałówkę, albo baranów kilka. Ów znowu wpadł na pomysł zbudowania młyna do mielenia zboża — a rolnicy wszyscy z sąsiedztwa woleli odtąd miarkę za zmielenie korca dać, niż męczyć się samemu tłuc ziarno w stępach, albo mleć na żarnach rękami.

I tak im więcej ludzi przybywało, tem więcej potrzeb i wynalazków się mnożyło. Jedni wynajdywali to, drudzy owo, a wszystko takie, co znowu temu lub owemu przydać się mogło — i tak mieniając przysługę za przysługę, żywili się jedni przy drugich.

W ten sposób powstał nowy a liczny zastęp **rękodzielników**, ludzi jeszcze przemyślniejszych od rolników dawnych — bo podczas gdy tamci przemysłem swoim wydobywali z ziemi różne płody surowe, ci przemysłem rzemieślniczym umieli te płody przerabiać, na lepsze a użyteczne przedmioty.

I rzemieślnicy ci żyli także dostatnio, chociaż ziemi własnej nie posiadali. Żyli nieraz dostatniej i wygodniej, aniżeli rolnicy — i poszanowanie mieli w narodzie: bo użyteczni mu byli — i bogactw dorabiali się łatwo: jeźli byli pracowici a oszczędni.

A czy myślicie, że bogaci rolnicy kupowali od nich te wyroby ich z miłosierdzia, żeby dać zarobek biedniejszym? — Gdzież tam! Z dobrze zrozumianego interesu własnego. Bo najprzód rzemieślnik, który ciągle jedne i te same rzeczy robił, dochodził do tej wprawy, że je robił znacznie prędzej i znacznie l e p s z e, niż rolnik sam, który roboty takiej w użyciu częstem nie ma. Powtóre, rzemieślnik, który robił hurtownie, który materyał na to kupował hurtownie, i który umiał robić prędko — choć sam zarabiał, mógł przecie oddać rolnikowi sprzęt dobrze zrobiony t a n i e j, niżby on go w domu sfuszerowany kosztował. A po trzecie, obliczał sobie rolnik: nim ja gdzieś po żelazo pojadę, nim węgli napalę, nim pług ukuję, i dziesięć razy poprawiać będę, bo nie mając wprawy, od razu mi się dobrze nie uda — to zmarnuję sobie tyle c z a s u d r o g i e g o, którybym lepiej mógł użyć w rolnictwie... Toć wolę korzec zboża dać, i pług gotowy z a r a z mieć, i kilka morgów pola wyorać nim przez te dnie, którebym sam na robotę pługa zmitrężył. Za ten jeden korzec kowalowi dany, zbiorę dwadzieścia na przyszły rok.

Gdy przecież pomyślimy, że od razu ludzi takich rzemiosłami się trudniących było nie wielu, wioski od wiosek dalekie, a kolei żelaznych, ba nawet i dróg dobrych nie było — to poznamy, że i tak jeszcze mitręga była dla rolnika wielka, gdy chciał rzecz jaką kupić — a i dla rzemieślnika niemniejsza, gdy chciał wyrób swój sprzedać. Rolnik jeździć musiał długo i daleko czasem, nim znalazł, to czego szukał. Znalazł nareszcie gdzieś może w dziesiątej wsi — i powiada do rzemieślnika: „daj mi to, a ja ci dam żyto, które mam na wozie". A rzemieślnik odpowie mu na to: „dobrze, towar ci mój dam, ale żyta nie chcę w zamian, bo mam, a potrzebuję wełny na odzienie, albo żelaza na przerób"..... Cóż robić teraz? Albo wracać rolnikowi do domu, odwieźć żyto a przywozić wełnę żądaną — albo jechać dalej szukać rzemieślnika takiego, co za towar podobny zechce przyjąć w zamianę żyto. I jedno i drugie mitręga, strata czasu, i koszt. Podobnież na odwrót i rzemieślnik, chodził czasem z wyrobem swoim bardzo długo, nim znalazł rzemieślnika innego albo rolnika, któryby potrzebował właśnie tego co on miał do zbycia, i któryby mógł dać mu w zamian to właśnie, co jemu było potrzebne.

Wśród tych niedogodności, i dla zaradzenia im, wytworzył się trzeci rodzaj przemysłu: **handel**, który przysługi wyświadczać zaczął, obu tamtym przemysłom dawniejszym. Znaleźli się ludzie, którzy ani ziemi nie mając, ani rzemiosła żadnego nie umiejąc, kupowali wszystko, co kto miał na sprzedaż, i dostarczali wszystkiego, czego kto kupić potrzebował. Za przysługę świadczoną innym ludziom, otrzymywali oni nagrodę w różnicy ceny — bo każdy wołał trochę drożej zapłacić, niż samemu jak dawniej, szukać mitrężnie z pierwszej ręki towaru.

Przemysł handlowy najwięcej przyczynił się do cywilizacyi ludzkości, bo wywołał pomiędzy ludźmi i ich wyrobami ruch. Przewożąc towary różne z dalekich okolic jednych do drugich, zaznajamiał ludzi dalekich ze sobą; rozpowszechniał

wynalazki dawniejsze, i do nowych wielu pobudzał; szerzył dobrobyt i oświatę.

Przemysł rękodzielniczy z przemysłem handlowym pospołu, dał niebawem początek **miastom**, w których się głównie osiedlał i gromadził. Przemysł rolniczy zaś, z natury rzeczy, pozostał w dawnych swoich siedzibach na wsi.

Wkrótce też niedogodnym się okazał dawny sposób mieniania towaru za towar — i wymyślono **pieniądze**.

Czem łokieć dla mierzenia długości, czem korzec albo kwarta dla wymierzenia objętości, czem funt dla zmierzenia ciężkości — tem pieniądz dla zmierzenia wartości przedmiotu. Dawniej mówiono: krowa warta jest 10 owiec, korzec żyta wart pługa, a wóz wart tyle co ćwierć konia. Ale jeżeli wozów niepotrzebował kto czterech, to kupić ich nie mógł, bo trudno było konia na czworo ćwiertować. Teraz zaczęto o każdej rzeczy mówić, że warta jest tyle a tyle sztuk, takich a takich pieniędzy.

Za pieniądze używano najprzód muszelek małych, podobnych do tych, jakie nasi górale karpaccy na kapeluszach noszą. Później skórek zwierzęcych, później blaszek stemplowanych, a nareszcie wybijać je zaczęto z metali rzadszych a trwałych, najpospoliciej z miedzi, srebra i złota. A bito okrągłe, żeby ludziom kieszeni nie darły. Gdy wszakże z czasem rozmaitych na świecie namnożyło się pieniędzy, i w każdym kraju były inne, i poznać się z niemi obcym ludziom było niełatwo — a handel zaczął obiegać świat cały, i nieograniczał się już na wioskach i sąsiednich im miastach, ale z kraju jednego do drugiego, i z części świata jednej do drugiej, towary zaczął przewozić — wymyślono dla wygody kupców **pieniądze papierowe**, które łatwiej można było odczytać, niż powycierane monety kruszcowe, i łatwiej było przewozić i przesełać, niż worki lub beczułki ze złotem.

Zawsze przecież papier sam pieniądzem prawdziwym nie jest, tylko zastępuje chwilowo i wyobraża złoto lub srebro, którego ilość jest na nim napisana.

Pieniądze też same przez się bogactwa nie stanowią — bo z głodu może umrzeć człowiek, który wraz z beczkami złota zabłądzi gdzie w pustyni bezludnej — albo skąpiec co złoto zakopał, i choć głodny, wydobyć go z ukrycia żałuje. Pieniądze stają się bogactwem przez to, że za nie kupić możemy wszystko, co nam do życia, albo do wytwarzania nowych bogactw potrzebne.

I kraj nie ten jest najbogatszym, który ma wiele złota i srebra — lecz ten, w którym przemysł rolniczy, rękodzielniczy i handlowy, najwięcej jest rozwinięty, i który bogactw rzeczywistych, czyli rzeczy ludziom użytecznych, najwięcej umie wytwarzać. W kraju gdzie rzeczy użytecznych jest wiele a pieniędzy mało — jest obfitość i taniość. Przeciwnie gdzie pieniędzy jest wiele, a rzeczy użytecznych mało — tam drożyzna, bieda i głód. Prusacy pogromiwszy Francyę przed kilkunastu laty, wyciągnęli z niej miliardy, prawie wszystko złoto i srebro jakie w obiegu było — a przecież pomimo to, Francya dziś jest bogatszą niż Prusy.... Podobnież Hiszpania przed kilkuset laty, nawiozła sobie złota i srebra z Ameryki masami, miała go najwięcej ze wszystkich krajów na świecie — a że lud miała nieprzemyślny i do pracy leniwy, najuboższym dziś ze wszystkich jest krajem.

W dalszym ciągu opowiemy sobie: jaka jest różnica pomiędzy ***wartością a ceną*** *towarów? O konkurencyi, o rodzajach pracy, o podziale pracy, o maszynach, o kapitale, o kredycie, o wekslu, o bankach, i o przysługach, jakie wzajemnie sobie ludzie świadczą — z czego wyrozumiemy, że we wszystkich czynnościach ludzkich, wszędzie, jest tylko wymiana przysług: Nic darmo nie rozdaje człowiek rozumny — i nic darmo nie przyjmuje człowiek uczciwy.*

Na wydawnictwo czasopisma p. t.: „RZEMIEŚLNIK POLSKI"

nadesłały ofiarę pieniężną „Towarzystwu Oświaty ludowej w Krakowie" następujące osoby:

X. Dr. Julian Bukowski	100 złr.	— ct.
Zygmunt hr. Cieszkowski	100 "	— "
Władysław hr. Zamoyski	100 "	— "
Dr. Wilhelm Dadlez	100 "	— "
X. Dr. Jurgowski z Pobiedrza	50 "	— "
X. Paweł Rzewuski	25 "	— "
Stanisław Górski	25 "	— "
Mieczysław Szybalski	25 "	— "
Dr. Henryk Jordan	25 "	— "
X. Kanonik Fox	25 "	— "
Ignacy Żółtowski	25 "	— "
Kazimierz Langie	25 "	— "
Janusz hr. Tyszkiewicz	25 "	— "
Dr. Kazimierz Kirchmajer	25 "	— "
Dr. Feintuch	25 "	— "
X. Kanonik Józef Pelczar	20 "	— "
Dr. A. L. Serafiński *w Bochni*	20 "	— "
Sławomirowie Odrzywolscy	20 "	— "
Jan Kanty Federowicz	15 "	— "
Bezimiennie z Warszawy	15 "	— "
Bezimiennie z Warszawy *10 rubli*	13 "	74 "
Antoni Górski	10 "	— "
Leon Zieleniewski	10 "	— "
Tadeusz Stryjeński	10 "	— "
X. Franciszek Lipiński *w Bochni*	10 "	— "
Dr. Władysław Markiewicz	10 "	— "
Dr. Józef Orłowski	10 "	— "
Dr. Wilhelm Dadlez *(powtórnie)*	10 "	— "
Dr. Stanisław Biesiadecki	10 "	— "
Dr. Tadeusz Starzewski	10 "	— "
Dr. Stanisław Tomkowicz	10 "	— "
Bezimienie *z Królestwa*	10 "	— "
Dr. Michał Koy	10 "	— "
Dr. Henryk Schoen	10 "	— "
Aleksander Szafrański	10 "	— "
Stefan Zakrzyński *5 rubli*	6 "	80 "
Jan Kwiatkowski	5 "	— "
Dr. Józef Muczkowski	5 "	— "
Edward Wojnarowicz	5 "	— "
Ś. p. Leonard Slawski	5 "	— "
Witalis Szpakowski	5 "	— "
Zdzisław Katyński	5 "	— "
Anton Dębski	5 "	— "
Dr. August Sokołowski	5 "	— "
Dr. Józef Surzycki	5 "	— "
Bezimiennie *z Królestwa*	5 "	— "
Z....	5 "	— "
Nikodem Garbaczyński	5 "	— "
Dr. Ferdynand Wilkosz	5 "	— "
Walerya Heggenbergerowa	5 "	— "
Zuzanna Fischerowa	5 "	— "
Edmund Piotrowski	5 "	— "
Włodzimierz Znamirowski	5 "	— "
Konstanty Wiszniewski	5 "	— "
Dr. Antoni Molicki	4 "	— "
Jan Fischer	3 "	— "
Adam Kozubowski	3 "	— "
Wiktor Redyk	3 "	— "
Ignacy Miarczyński	3 "	— "
X. Rychlak	3 "	— "
X. Wądolny	3 "	— "
X. Spis	3 "	— "
X. X.	3 "	— "
X. Bochenek	2 "	— "
X. Pobudkiewicz	2 "	— "
X. Piwowoński	2 "	— "
Bezimiennie	2 "	— "
W. Krzysztofowicz	2 "	— "
Felicya Malinowska	2 "	— "
Zdzisław Włodek, Prezes Rady Pow. Bocheń.	1 "	— "
N. N.	1 "	— "
Na ręce Dra Serafińskiego *w Bochni*	29 "	70 "
Na ręce Edmunda Piotrowskiego	23 "	50 "
Na ręce Każemira Jabłońskiego	5 "	— "
Na ręce Witołda Żelechowskiego	4 "	50 "
Na ręce Józefa Kamińskiego	3 "	— "
Z Wadowic nadesłano	5 "	40 "

(Dalszy ciąg nastąpi).

Praca ręczna nie krzywdzi.

Francuzki uczony A. Compagnon napisał: że krzyż jest znakiem nietylko zbawienia dusz, lecz jest także zaszczyceniem pracy ręcznej.

W on czas, kiedy wszelka praca była udziałem samych tylko niewolników, Syn Boży postanowił przywrócić jej cześć, poświęcając jej trzydzieści lat swojego istnienia, i żyjąc z owocu swojej pracy.

Że ci, których przodkowie oddali usługi krajowi, broniąc go przeciw nieprzyjaciołom, lub zbogacając go swemi wynalazkami, a których nazwiska zachowała nam historya, są dumni z swego pochodzenia, nic nad to naturalniejszego. Ale robotnik ma także swoje szlachectwo i swój herb: jestto krzyż, na którym skonał boski pracownik.

Robotnicy uskarżają się często na wzgardę okazywaną im przez osoby innych stanów, sądząc, że one ich uważają za istoty innego rodu. Lecz czyliż wielu robotników nie wywołuje tej wzgardy przez swój upór w prowadzeniu się zupełnie rożnem od tego, które zachowują osoby klas zamożniejszych? Zdaje się nawet niekiedy, jakby ta grubiańskość i niegrzeczność w mowie, w gestach i w czynach klas roboczych była udaniem, lub przybraną jakąś rolą, w której upodobanie znajdują; jakoby umyślnie chciały pokazać się innemi od reszty ludzi. Czyliż mogą się potem dziwić, że ci inaczej je też uważają?

My, którzy zanadto kochamy robotników, abyśmy im mieli schlebiać kosztem prawdy, powiemy im otwarcie: pojmijcie lepiej interes wasz; przybierzcie na siebie godność człowieka, której zdajecie się częstokroć zapominać; starajcie się zachować w każdym czynie i słowie tę grzeczność, uprzejmość i życzliwość, które ludzie dobrze wychowani są sobie nawzajem winni, tak, ażeby pomiędzy waszym a innemi stanami niebyło żadnej innej różnicy, jak tylko ta, która wynika z majątku.

Dziś więcej niż kiedykolwiek nauka i wychowanie, same tylko czynią różnicę pomiędzy ludźmi wszystkich stopni społecznych. Starajcie się znieść tę przegrodę, zależy to od was samych, bo społeczeństwo ofiaruje wam środki do tego. Jesteście za naszych czasów w ciągłej styczności z ludźmi wszystkich klas; wasze dzieci siadają na jednych ławkach z dziećmi wszystkich obywateli. Naśladujcie więc ludzi wyższych stanów; zamiast udawania w ich obecności pewnej niegrzecznej prostoty, współubiegajcie się z nimi w grzeczności i w uprzejmości mowy, a wierzcie moi przyjaciele, że wnet wywrócicie te przegrody, jakie waszem zdaniem, wznoszą się jeszcze pomiędzy wami a stanami zamożnemi, przegrody, które wy sami jedynie podpieracie.

Każda klasa towarzystwa ma swoich książąt, swoich hrabiów i swoich baronów. Jeżeli tytułów tych nie nadaje Monarcha, nadaje je opinia publiczna cnocie i geniuszowi, a tytuł, który nauka udziela doktorowi lub uczonemu nie mniejszą ma wartość od innych.

Umiemy szanować wielkie imiona historyczne, równie jak i znakomite wyższości nowoczesne, lecz niepoczuwamy się do obowiązku oddawania czci potomkowi choćby najwyższych rodów, jeżeli tenże nic nie zrobił, coby go polecało wdzięczności narodu.

Dziś wszystko przechodzi przez rozbiór rozumu i sumienia; każdy człowiek jest jakby sztuką monety, która ma swą wagę i swą wartość; może on być obsypany orderami i tytułami, posiadać bogactwa Nababa, ale jeżli nie posiada żadnej wartości osobistej, będzie wlókł życie w ciemnocie, przygnieciony pamiątką swych przodków.

Przeciwnie człowiek nauki lub geniuszu, w jakimkolwiek stanie los dał mu się urodzić, zabierze miejsce przeznaczone swoim zaletom, pomimo przeszkód, które spotka na swej drodze.

Ileż to ludzi geniuszu urodziło się w sferach pracy ręcznej? Homer wyszedł z warsztatu puszkarza w Smyrnie; Sokrates z pracowni snycerza w Atenach; Wirgiliusz orał sam pługiem w Mantui; J. J. Rousseau pracował u zegarmistrza w Genewie, nim przemawiał i pisał do myślącego świata; Benjamin Franklin, który przewodniczył w godności posła lub pracodawcy losom swojego kraju i który, po przyłożeniu się do oswobodzenia tegoż, pisał dla ludu rozprawy o moralności, które same już wystarczyłyby były dla zapewnienia mu sławy, rozpoczął swój zawód jako robotnik w drukarni.

Inni, bez wyjścia ze skromnej sfery, w której przypadek dał im się urodzić, nie pozostali mimo to obcymi dla literatury i sztuk pięknych. W naszych czasach znaczna liczba rękodzielników ma dobre wychowanie, umie wyrażać się poprawnie, logicznie, a nawet ozdobnie. Nie wszyscy już dziś pracownicy przepędzają czas wolny od pracy w szynkowniach, w miejscach wydatków lub rozpusty; wielu z nich obraca swe chwile spoczynku na uczenie się muzyki, rysunków, i na czytanie dzieł dobrych autorów.

Dlatego też widzimy dziś niejednego robotnika, który przez swe wyższe usposobienie umysłowe postawił się na czele swego przemysłu, nadającego takowemu rozwój i postęp, i przychodzącego wreszcie do majątku, do poważania i do zaszczytów.

Uznając, że i dla nas pożytecznem być może to, co ten mądry Francuz w powyższem dla swoich ziomków napisał, przesełam spolszczone te uwagi jego, do zużytkowania w okazowym numerze pisma, które Towarzystwo Oświaty ludowej w Krakowie zamierza wydawać.

W. D.

Lwów, 28 Kwietnia 1891.

Bochnia, 30 Kwietnia 1891.

W załączeniu przesyłam ofiarę mieszczan tutejszych, w kwocie 59 złr. 70 ct., na rozpoczęcie z dniem 3 Maja 1891 r. wydawnictwa czasopisma dla rzemieślników polskich.

Oznajmiam, iż myśl wydawania w imię zasad Konstytucyi 3 Maja, pisma stojącego na gruncie katolickim i narodowym dla rzemieślników i mieszczan polskich, znalazła w naszem mieście gorący i powszechny poklask.

Szczerze też pragniemy, aby piękna i pożyteczna inicyatywa, już dobrze dla narodu zasłużonego Towarzystwa Oświaty ludowej w Krakowie, jak narychlej weszła w życie.

Gdyby nadspodziewanie pismo zamierzone wydawanem być nie miało — zebrane datki przeznaczamy na cele Towarzystwa Oświaty ludowej w Krakowie.

Z poważaniem

Dr. A. L. Serafiński,
burmistrz m. Bochni.

Kraków, 3 Maja 1891.

Grono ludzi, którzy odczuwali zdawna brak uczciwie redagowanego czasopisma dla rzemieślników polskich — którzy z radością dowiedzieli się o zamiarze Krakowskiego Towarzystwa Oświaty, wydawania takiego pisma — i którzy postanowili sobie, nieść temuż Towarzystwu czynną pomoc w urzeczywistnieniu pięknej Jego myśli — i nie dać myśli tej upaść nawet w takim razie, gdyby ją Towarzystwo Oświaty kiedykolwiek porzucić musiało — wydaje zbiorowemi siłami ten numer okazowy, w pamiętnym dla każdego Polaka dniu, z prośbą do wszystkich ludzi dobrej woli: żeby Towarzystwu Oświaty z pomocą materyalną i moralną śpieszyli, a ten numer okazowy po przeczytaniu, w jaknajszerszych kołach rozpowszechnić raczyli.

Wydawcy.

Nakładem i czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Miejsce na inseraty.

Wielmożny Pan

Dr. Karol Estreicher Rozbierski

Dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej

w Krakowie